

1 9 3 6  
NR. 147

# NAOKOŁO ŚWIATA



CENA 1 zł





**Letnie wyuczasy młodzieży angielskiej**

## Z DZIEDZINY KOSMETYKI

### JAK POWSTAJĄ ZMARSZCZKI?

Dlaczego starzeje się przede wszystkim twarz, a dopiero później ręce, szyja, kark, łopatki i t. d.? Czy z twarzą postępujemy inaczej, niż z pozostałymi częściami naszego stroju? Oczywiście. Twarz częściej i dokładniej zmywamy wodą i mydłem.

Pory twarzy wydzielają bardzo delikatny tłuszcz, który powinien chronić skórę, mydła zaś, zwłaszcza bardziej alkaliczne, tłuszcz ten rozpuszczają, zmydlają. I dlatego skóra twarzy musi coraz to świeższy wytwarzać tłuszcz ochronny. Ten nadmiar pracy gruczołów łojowych sprzyja wylugowaniu porów, wskutek czego skóra staje się wiotka, mało elastyczna, kurezy się, tworząc zmarszczki.

Starożytne narody nie знаły mydła zupełnie i oczyszczały ciało masłami wonnymi. Kobiety, świadome tajemnic pielęgnowania swej urody, czynią to samo. Poznać je łatwo wśród tysięcy innych. Nie starzeją się, a przynajmniej w sposób bardzo niewidoczny.

Istnieją kobiety, których lat nawet w przybliżeniu nie da się określić z wejrzenia. I sama delikatność wymaga, byśmy nie zdradzali, naprzykład lat naszych artystek teatralnych. Pytamy się jednak, skąd te panie tak długo zachowują swój wygląd, nie starzejąc się.

Pragniemy poznać tę tajemnicę, odpowiemy: tylko dzięki niezrównanemu wpływowi „Kremu, pudru i otrybków Abarid”.

Jeżeli panie zastosują prawidłowo „Krem, puder i otrybki Abarid”, na co potrzeba dziennie zaledwie kilka minut, łatwo przekonają się, jak twarz ich zmieniać się będzie z dnia na dzień na korzyść. Przede wszystkim nabierze pięknej, delikatnej i wzbudzającej zazdrość cery i, co za tem idzie, młodego wyglądu. Następnie mięśnie skóry twarzy ulegną wzmocnieniu, skóra znów nabierze dawnej elastyczności, zmarszczki wygładzą się i znikną. Tym sposobem uda się zapobiec starzeniu się, a na wynik działania „Kremu, pudru i otrybków Abarid” długo czekać nie trzeba będzie.

Nawet w takich wadach, jak szara cera, nieczystość skóry — „Krem, puder i otrybki Abarid” działają zadziwiająco szybko i sprawnie.

*M-me Ercédes*





Młodociani harmonicy

# NAOKOŁO ŚWIATA

Nr. 147

ROK 1936



Dorothy Lee

Letni deszcz

Fot. R.K.O. Radio

# TREŚĆ NUMERU

MAGDALENA SAMOZWANIEC, Uczciwa dziewczyna . . . . .	Str. 5
M. TWAIN, Fartuch na kabrioletcie . . . . .	„ 9
WACŁAW ZYNDRAM-KOSCIĄŁKOWSKI, Felka . . . . .	„ 13
SHIGA NAOYA, Zemsta zonglera . . . . .	„ 17
H. JAMES, Biografia pisarza . . . . .	„ 25
A. BUCHOW, Żagiel . . . . .	„ 35
Anegdota . . . . .	„ 39
MICHAŁ PROVINCE, Z cyklu listów, które się pali i które się zachowuje . . . . .	„ 79
J. MILBURN, Koniec muzyki . . . . .	„ 49
E. CALDWEL, Para odświętnych spodni . . . . .	„ 60
J. HASZEK, O pomysłowych nazwach . . . . .	„ 65
A. MORRISON, Kredyt . . . . .	„ 72

Na okładce: Lucille Ball — z filmu „Błękitna Parada”  
wytwórni RKO Radio

Rysunki E. Kanarka i E. Rotmanówny

---

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Zgoda 12, tel. 522-14  
Administracja czynna codziennie od godz. 13 do 15  
Redakcja we wtorki i czwartki od godz. 12 do 14

Prenumerata kwartalna w kraju, wraz z przesyłką,  
zł. 3.— zagranicą zł. 5.—  
Zeszyt pojedynczy 1 zł.

*Rękopisów i fotografii niezamówionych, przysłanych pocztą bądź też składowanych osobiscie, redakcja nie przechowuje i bezwzględnie nie zwraca*





## Uczciwa dziewczyna

Pani Marysia zauważyła, że od jakiegoś czasu jej służąca, Mania, opuszcza się w robocie, że oparta o szczotkę jak wartownik o swój karabin, potrafi stać bezczynnie, tępo wpatrzona w okno, że twarz jej schudła, a figura zaokrągliła się znacznie.

— Maniu — rzekła raz pani Marysia, wchodząc do salonu — pełno kurzu w salonie aż się w powietrzu unosi. Nie znoszę takiego brudu!

— To nie z brudu, ino ze słońca — odparła Mania, poczem nagle chlipnęła i zasłoniła ręką oczy.

— Co ci jest? — zaniepokoiła się pani Marysia.

— Nudzi me w dołku — wybąkała dziewczyna, odwracając twarz.

— Maniu! — głos chlebobawczyni brzmiał surowo a boleśnie — Mania jest w odmiennym stanie!

Służąca zaniósł się płaczem.

— O rany! Taki wstyd, uczciwą dziewczynę pani posądza. Ja nie taka jak inne. Michy to nawet przez głowę nie przeszło. A pani zaraz na mnie. Sierota jezdem, nikt me nie obroni — histeryzowała.

— Mnie się możesz przyznać — rzekła pani Marysia łagodnie. — Takie wypadki zdarzają się i w najlepszych domach... u służących oczywiście. Nie

bój się, i tak cię teraz nie oddalę — pogłaskała ją po głowie. — No, kiedyż to się stało?

— Niby to człowiek wi, kiedy na niego zło spadnie — odparła dziewczyna wymijająco.

— Ale żeby tak odrazu dziecko?

— Proszę pani — Mania dumnie podniosła głowę — ja jezdem uczciwa dziewczyna i dlatego tak się stało, bo na udeptanej ziemi trawa nie wyrośnie.

Gdy Mania poszła do szpitala przysporzyć światu jeszcze jednego „szarego”, pani Marysia poczęła się zastanawiać nad sprawą nowej służącej.

— Jak tylko się nadarzy dobra dziewczyna, to jej się musi zaraz przytrafić taka przygoda jak Mani — rzekła pani Marysia do męża.

— Trudno, moja droga, na jej zaletach poznali się widocznie i inni. Weź jakąś cnotliwą, nieładną „Zytkę”, to może nareszcie będzie spokój.

Istota, która w kilka dni później zjawiała się w domu pani Marysi, w żadnej mierze nie zasługiwała na miano uwodzicielki. Skromne to było, małe, ciche, czarne, z cienkimi tłustymi włosami i tłustą cerą.

— Codzień rano muszę być w kościele — zastrzegła się — a popołudniu na nieszpórach.

— Nie mam nic przeciwko temu — odparła pani Marysia — byleby śniadanie i kolacja były o swojej porze i pokoje posprzątane.

Z nową służącą jest tak jak z małżeństwem, z początku wszystko idzie dobrze i gładko. Obie strony są z siebie zadowolone. Jednak już po pewnym czasie zaczynają występować różnice charakterów i upodobań, a wzajemne komplementy zamieniają się na mówienie sobie prawdy w oczy, na kłótnie i swary. Nowa służąca, Joasia, nie kokietowała wprawdzie listonoszy i kominiarzy, ale zato chętnie zapominała o śniadaniu i kolacji.

— Ta Joasia jest niemożliwa — mówił pan domu — wciąż tylko lata do kościoła, myśląc, że śniadania i kolacje same się robią, na zasadzie filiżanek, które jej się „same tłuką”. Musisz poszukać jakiejś nowej kukły.

— Ani mi się śni jej oddalać — odparła żona. — Dostyc mam wciąż nowych twarzy w domu.





— No, jeśli ty to nazywasz twarzami! — roześmiał się mąż.

Do pani Marysi przychodził często jeden młody inżynier. Nazywał się Zbyszek Bawarski i nosił zarost na głowie, co w dzisiejszych gołych i łysych czasach można uważać za rzadkość. Flirtek między panią Marysią a nim był czysty jak świeży śnieg (trochę przez słońce stopiony). Pani Marysia wołała mieć zasady niż kwasy, oczywiście domowe, grali więc tylko na dwie ręce na aparacie radjowym i zabawiali się intelektualną rozmową. Joasia niechętnie wpuszczała inżyniera do domu.

— Bedzie za to kara Boża, bedzie — mruczała, odchodząc do kuchni.

Kiedyś, siedząc w kościele blisko konfesonatu, mimowoli usłyszałam urywki spowiedzi tego dziecięcia ludu.

„...Służę w domu, gdzie panuje grzechy — spowiadała się głośnym szepcetem Joanna. — Moja pani zamyka się w salonie z jednym panem inżynierem. Kucharka powiada, że oni tam razem „chodzą“. A proszę ojca, jak raz weszłam do salonu po brudne naczynie, to widziałam, jak on przykładął swoje grzyszne ciało do jej grzysznego ciała. Trzymali się za rynce i puszczały radio... I do kościoła nie chodzi — ajakże, proszę ojca, i w post daneyga witańcowuje przy gramafonie, a panu daje kotlety — na własne oczy widziałam. I przeklina, raz to tak skłęła, proszę ojca, jednom takom dziadówkę, co po proźbie przychodzi, że aże mnie krew mało nie zalała. Taka to ci jest pani!...“

Ksiądz coś głośno na nią fuknął, prawdopodobnie nawołując ją do przyznania się i do własnych grzechów, bo Joasia zwiesiła pokornie głowę i mrucnęła:

— Matko! Ja z chłopokami?... Ja jezdem uczciwa dziewczyna, proszę ojca, i „Zytka“. Nie kradnę, proszę ojca, i do kościoła codziennie raniutko biegam i jak trza, to i dziada wspomogę i za tych trzydzieści złotych haruję jak kuń. A moja pani to dzieci mieć nie kce —



ajakże. Mówi, żeby jej się lenija zepsolały. To przecie grzech, proszę ojca...

Ksiądz puknął trzy razy i Joasia, wypróżniona z cudzych grzechów, ze swoją świętą i pokorną miną podreptała w stronę ołtarza.

Pani Marysia postanowiła chudnąć i zaprowadziła u siebie jarską kuchnię. Na ich stole zaczęły się pojawiać krwawe befsztyki z marchewki i sznycelki z kapusty, o których w przepisach kucharskich powinno być zaznaczone: „...podać na gorąco i wyrzucić przez okno“. Joasia była oburzona.

— Jedna obraza Boska — mówiła do kucharki. — W zwyczajny dzień poszczą, to już niema nijakiego poświęcenia, gdy mięsa w piątek nie jedzą.

Post ma być umartwieniem ciała na Chwałę Bożą, a nie „kosmatką“. Jak choroba jedna chce tak bezbożnie żyć, to niech słudze więcej płaci. Podziękuję, jeżeli mi miesięcznie nie doda piątki..

— Oddalam Joannę — zwierzyła się pani Marysia mężowi. — Zacheiało jej się podwyżki pensji za nieróbstwo. Muszę się wystarać o nową służącą. Ale tym razem będę mądrzejsza: nie będę zwracać uwagi ani na świadectwa, ani na jej powierzchowność, tylko posłucham co o sobie powie. Jeśli powie, że jest „uczeiwą dziewczyną“, albo „Zytką“, to jej nie zgodzę i poszukam innej.

— Czuję, że wezmiesz do domu złodziejkę! — jęknął mąż, załamując ręce.

MAGDALENA SAMOZWANIEC





# Fartuch na kabrjolecie

John Brown, dzielny, dobry, pocciwy chłopiec, w wieku lat 31, mieszkał na cichej wsi w stanie Missouri. Był kierownikiem prezbiterjańskiej szkółki niedzielnej i aczkolwiek było to nader skromne stanowisko, to dzięki niemu jednak, miał Brown pewną pozycję społeczną, z czego był bardzo dumny — nie mniej niż oddany swej pracy. Otoczenie uważało, że jest on człowiekiem wyjątkowo dobrym. Jak mówiono, składał się on z dobrych pobudek i odznaczał się niewiarygodną skromnością. Na jego pomoc, w razie potrzeby, mógł liczyć każdy, co zaś się tyczy skromności, to objawiała się stale i wszędzie.

Mary Taylor, skromna, miła, piękna zewnątrz, 23-letnia panna, była dla Browna wszystkim. On też był dla niej wszystkim. Mary wahała się, ale jego nadzieje rosły. Najpierw sprzeciwiała się jej matka. Ale teraz i ona wahała się, Brown widział to. Matkę wzruszało zawsze jego współczucie dla dwu staru-

szek, któremi się opiekowała i skromne zasiłki dla nich, jakie składał Brown. Były to dwie samotne starszuszki-siostry, mieszkające w chatynce u skrzyżowania dróg, w odległości czterech kilometrów od fermy pani Taylor. Jedna z sióstr była chora na umyśle i czasami szalała, ale niezbyt często.

Wreszcie przyszedł czas dla decydujących posunięć i Brown, skupiwszy całą odwagę, postanowił zrobić krok decydujący. Da tym razem zasiłek dwa razy większy, a zdobędzie tem serce matki i złamie opór. Pozatem zwycięstwo było stuprocentowo pewne.

W ciepłą, letnią niedzielę wybrał się do Taylorów, ubrany odpowiednio do swych zamiarów. Nosił białe płócienne ubranie, błękitną wstążkę zamiast krawata i eleganckie, nieco przyciasne buciki. Wynajął najlepszego konia i najlepszy kabriolet. Na kabrjolecie znajdował się nowy biały fartuch, obszyty taśmą. Nic w okolicy nie mogło się





z nim równać pod względem wykonania i piękności.

Po przejechaniu czterech kilometrów pustynnej drogi, Brown puścił konia stępą przez drewniany mostek. Nagle wiatr zerwał mu kapelusz do strumienia. Kapelusz popłynął i zatrzymał się na jakimś krzaczku. Brown stracił głowę. Musi przecież mieć kapelusz, to było jasne. Ale jak go wydostać?

Nagle olśniła go myśl. Droga była bezludna, w pobliżu nie było nikogo. Tak, można zaryzykować. Odprowadził konia na stronę i pozwolił mu popaść się trochę na trawce, potem rozebrał się, położył ubranie do kabrioletu, pogłaskał konia, aby pozyskać sobie jego współczucie i wierność, poczem skoczył do strumienia. Popłynął i szybko wydostał kapelusz. Kiedy wyszedł na brzeg... konia nie było.

Pod Brownem ugięły się nogi. Koń leniwie szedł przez drogę. Brown puścił się za nim kłusem, mówiąc „hej stary, gdzie idziesz, hej stary!...” Ale skoro tylko dogonił kabriolet, koń przyspieszył biegu i Brown wkrótce został znów w tyle. I znów nagi Brown biegł za koniem, błagając go i umierając ze

strachu, że ktoś zjawi się na drodze. Przebiegł tak prawie kilometr i zbliżał się już do posiadłości pani Taylor. Udało mu się wreszcie wskoczyć do kabrioletu. Szybko włożył koszulę, marynarkę, zawiązał krawat, złapał spod... ale zapóźno. Ktoś wyszedł z bramy, wydawało mu się, że kobieta. Usiadł szybko i przykrył się fartuchem. Skierowawszy konia na lewo, pognął go szybko na skrzyżowanie dróg. Droga była zupełnie prosta, otwarta z obydwu stron. Ale w odległości trzech kilometrów był silny skręt a za nim las. Brown zbliżając się do lasu poczuł ulgę. Po minięciu zakrętu, puścił konia stępą i schwycił spod... znów za późno.

Nawprost, przed sobą, zobaczył panią Enderby, panią Glossop, panią Taylor i Mary. Szy mu naprzeciw, były zmęczone i czemś podenerwowane. Podeszły do kabrioletu, przywitały się i gorączkowo zaczęły wszystkie razem mówić o tem, jak są zadowolone, że go spotykają, jakie to szczęście, że się zjawił. Pani Enderby powiedziała uczuciowo:

— To może się wydawać rzeczą przy-

padku, że on zjawił się w tej chwili, ale to bynajmniej nie jest przypadek, został tu wysłany, tak zesłany nam został przez niebiosy.

Wszyscy byli wzruszeni, a pani Glossop uroczyście powiedziała:

— Saro Enderby, nigdy dotąd nie miała pani takiej słuszności, jak w tej chwili. To nie jest przypadek. W tem jest ręka opatrności. On został zesłany. On jest aniołem, najprawdziwszym aniołem. Tak, aniołem, Saro Enderby, nie mogę go nazwać inaczej. Niech nikt nie ośmieli się twierdzić, że niema przeznaczenia, bo jeśli to nie dłoń przeznaczenia, to któż wyjaśni to zjawienie się?

— Jestem pewna, że to jest właśnie tak — odezwała się pani Taylor — Johnie Brown, jestem gotowa paść przed panem na kolana. Czyż panu nic nie mówiło, czy pan nie czuł, że jest zesłany ku nam? Gotowa jestem ucałować skraj pańskiego fartucha na kabriolecticie...

Brown ze strachu i wstydu stracił mowę. Czuł, że jest zupełnie bezsilny. A pani Taylor ciągnęła dalej:

— Niech się pani tylko wgłębi w to wszystko, Juljo Glossop. Każdy widzi tu rękę opatrności. Cośmy widziały w południe? Ujrzałyśmy słup dymu. I powiedziałam, to pali się chata na-

szych staruszek. Czy nie tak, Juljo Glossop?

— Tak jest. Tak właśnie pani powiedziała, Nancy Taylor. Stałam obok pani i słyszałam doskonale. Być może, że pani powiedziała nie chata, a mieszkanie, ale sens był ten sam. Zbladła pani przy tem.

— Zbladłam? Byłam biała, jak ten oto fartuch na kabriolecticie. Powiedziałam potem: „Mary Taylor, powiedz parobkowi, by zaprzągnął konie, pośpieszmy na pomoc. A ona odpowiedziała: „Mamo, czy nie pamiętasz, że zwałniamy robotnika każdej niedzieli?“ I miała rację. Odpowiedziałam, że zapomniałam o tem i powiedziałam: „jeżeli tak, to pójdziemy pieszo“. I poszłyśmy zaiste. A na drodze spotkałyśmy Sarę Enderby.

— I poszłyśmy wszystkie razem — przyłączyła się pani Enderby. — I znalazłyśmy całą chatynkę w ogniu i dowiedziałyśmy się, że podpaliła ją chora umysłowo staruszka i biedne staruszki, takie stare i słabe, nie mogły iść pieszo. Odprowadziłyśmy je do lasu i urządziłyśmy je tam i zaczęłyśmy myśleć, jak je zaprowadzić do Nancy Taylor. I ja powiedziałam... cóż ja wówczas powiedziałam? Czy nie powiedziałam, że opatrność zesłała nam pomoc?





— Słusznie, tak właśnie pani powiedziała! Zupełnie zapomniałam o tem.

— I ja też! — wykrzyknęły razem pani Taylor i pani Glossop — oczywiście, że pani tak powiedziała. Czy to nie jest zdumiewające?

— Tak, tak właśnie powiedziałam. Potem poszliśmy do pana Mosley'a, dwa kilometry, ale tam nikogo nie było. Wszyscy poszli na kazanie do Stony Foreck. Wtedy powróciłyśmy, znów dwa kilometry, i przyszłyśmy tutaj, jeszcze jeden kilometr i oto zesłana nam zostaje pomoc. Sam pan widzi...

Popatrzyły na siebie i poważnie, wzniosłszy ręce ku obłokom, powiedziały unisono:

— To — jest — pop — ros — tu — nie — a poje — te...

— A teraz — powiedziała pani Glossop — osądzmy jak będzie lepiej. Czy pan Brown zawiezie staruszki do Nancy Taylor pojedynczo, czy też posadzi je obydwie do kabrioletu, a sam poprowadzi konia za uzdę...

Brown wiał się i nie mógł schwytać oddechu.

— Tak, oto w czym sęk! — rzekła pani Enderby. — Myśmy się bardzo zmęczyły i jakbyśmy postąpiły, to i tak będzie nam ogromnie trudno. Jeżeli pan Brown weźmie je odrazu, to w każdym razie musi pojechać jedna z nas i pomóc w usadowieniu staruszek do kabrioletu. On sam nie da sobie rady, przecież starowinki są takie słabe...

— Słusznie! — zgodziła się pani Taylor. — Niech jedna z nas pojedzie z panem Brownem, a pozostałe niech idą do mnie i wszystko przygotują. Ja z nim pojedę. Razem wsadzimy staruszki do kabrioletu, odwieziemy do mnie, a potem...

— Ale kto pozostanie z drugą? — przeciwstawiła się pani Enderby. — przecież nie możemy zostawić jej samej w lesie, zwłaszcza tej chorej. A przecież tam i spowrotem, to jednak osiem kilometrów...

Usiadły na trawie dla krótkiego wypoczynku i kilka minut milczały, obmyślając skomplikowaną sytuację. Wre-

szcie twarz pani Enderby rozjaśniła się błogim uśmiechem:

— Zdaje mi się, że znalazłam wyjście. Oczywiście, nie jesteśmy w stanie iść pieszo. Pomyślcie, ileśmy przeszły? Cztery kilometry tam, dwa do Mosley'a, to sześć, potem tutaj, to już dziewięć, a wyszliśmy w południe i od tego czasu nie miałyśmy nic w ustach. Nie rozumiem poprostu, jak mogłyśmy przejść taki szmat drogi i co dotyczy mnie, to umieram z głodu! Ktoś musi pomóc panu Brownowi, niema wątpliwości, ale ktokolwiek to będzie, musi pojechać, bo nie potrafi iść. Proponuję więc, by jedna z nas pojechała spowrotem z panem Brownem, a stamtąd do Nancy Taylor, wzięwszy jedną staruszkę, podczas gdy pan Brown pozostanie z drugą. Reszta zaś niech idzie do Nancy Taylor i odpoczywa. Potem jedna z was pojedzie po drugą staruszkę i przywiezie ją do Nancy, a pan Brown przyjdzie pieszo...

— Wspaniale — krzyknęły chórem — wszystko jest doskonale ułożone.

Po krótkiej naradzie, postanowiły, że z Brownem pojedzie pani Enderby, która zrealizuje swój własny plan. Teraz, kiedy wszystko było obmyślane i zdecydowane szczęśliwe panie wstały z westchnieniem ulgi, poprawiły suknie i w trójkę poszły w stronę domu. Pani Enderby postawiła nogę na stopniu kabrioletu i już chciała wsiąść, kiedy nagle Brown zebrawszy resztki sił szepnął:

— Przepraszam, pani Enderby, proszę zawołać panie spowrotem... jestem ogromnie osłabiony i w żadnym razie nie mogę iść pieszo, w żadnym razie.

— Co się panu stało, panie Brown? Pan rzeczywiście jest strasznie blady, ach mam wyrzuty sumienia, że nie zauważyłam tego przedtem! Wracajcie, wracajcie wszystkie, pan Brown jest chory! Czy mogę panu czemś pomóc panie Brown, co się z panem dzieje?

— Nie, milady, nie jestem chory, jestem poprostu słaby. Dopiero w tej chwili poczułem to osłabienie...

Panie wróciły i wylały na Browna





strumienie współczujących słów. Wyrzucały sobie, że nie zwróciły wcześniej uwagi na jego bladłość. Ułożyły zmiejsza nowy plan i zdecydowały, że jest najlepszy ze wszystkich. Wszystkie pójdą do Nancy Taylor i poratują Browna. Brown położy się na kanapie w salonie, pani Taylor i Mary będą go pielęgnowały, a pozostałe panie pojedą do staruszek. Jedna przyjedzie z jedną staruszką, a druga pozostanie z drugą... i...

Podszły wprost do konia i zaczęły odwracać kabriolet. Katastrofa zawiła na włosku. Brown odzyskał wreszcie dar wymowy, usiłując uratować się za wszelką cenę. Powiedział:

— Wielce szanowne panie zapominają o czemś, co uniemożliwia cały plan. Bo jeśli któraś z pań pozostanie ze staruszką, to osoba która powróci, z kabrioletem będzie już trzecią, a przecież tu się więcej jak dwie osoby nie pomieszczą!

— Na miłość boską! — zawołała pani Glossop — co robić, co robić? Przecież to jest sytuacja bez wyjścia...

Bezsilne usiadły znów na trawie i zaczęły łamać sobie głowę nad tem zagadnieniem. Wreszcie Mary zaproponowała nowy plan. Była to jej pierwsza próba:

— Jestem najmłodsza i najsilniejsza spośród was. A przytem wypoczęta. Odwieźcie pana Browna do nas i opiekujcie się nim, widzicie przecież, jak mu potrzeba opieki. Ja wrócę do staruszek i pozostanę z niemi. Dojdę tam w ciągu 20 minut. Wy zaś róbcie swoje i niech jedna poczeka przed domem na jakiś przejeżdżający wóz. Niedługo farmerzy zaczną wracać z miasta. Nie trzeba będzie długo czekać. Dodam tymczasem otuchy starej Polly, a tej obłąkanej przecież niczego nie potrzeba.

Plan ten został zanalizowany i przyjęty. Zdawało się, że to jest najlepsze, co można przedsięwziąć w tej sytuacji. Przecież starowinki są teraz napewno w ciężkiej sytuacji psychicznej.

Brown poczuł ulgę i głęboką wdzięczność. Wystarczy mu znaleźć się na wielkiej drodze, a ratunek jest za-

pewniony. Ale pani Taylor powiedziała:

— Nadchodzi wieczór i chłód, biedni pogorzelnicy potrzebują napewno jakiegoś okrycia. Weź, dziecko, ze sobą, chociażby ten fartuch z kabrioletu...

— Z przyjemnością, mateczko!...

Mary podeszła do kabrioletu i wyciągnęła rękę po fartuch...

\*

Na tem kończy się nasze opowiadanie. Mój towarzysz, który mi je opowiedział, twierdzi, że 25 lat temu, kiedy je czytał, przerwano mu w tem miejscu i pociąg spadł z mostu.

Myśleliśmy najpierw, że można zakończyć całą historję bardzo prosto, ale potem okazało się, że zadanie wcale nie jest takie łatwe. Sytuacja jest bardzo skomplikowana i zaplątana. Cała rzecz wiąże się z charakterem Browna, jego dobroć i szlachetność łączyły

się z niezwykłą skromnością i wstydlivością. Kochał Mary i miał wielkie nadzieje, ale przecież nie było jeszcze nic określonego.

Była tam jeszcze matka, wahająca się i tylko w połowie przechylająca się na jego stronę, matkę zwyciężyć można było tylko zręcznością i chytrą dyplomacją — teraz lub nigdy. Do tego jeszcze owe dwie staruszki, udręczone oczekiwaniem, tam w lesie, ich losy i szczęście Browna, całkowicie zależą od tego, co on teraz uczyni w najbliższych dwóch, trzech sekundach. Mary wyciągnęła rękę po fartuch, Brown musi się zdecydować, niewolno stracić ani sekundy.

A jednak Mary wyciągnęła już rękę po fartuch. Przypuśćmy, że już wzięła fartuch za obszycie!... Tu pozostawiamy czytelnikowi sposobność rozstrzygnięcia tego, co nastąpiło dalej...

M. T WAIN





# FRANKA

Wyprostowane kościelne świece otoczyły ze wszystkich stron czarną metalową trumnę.

Nieznosne gorąco nie daje spokojnie oddychać. Zapach kwiatów miesza się z jakimiś kroplami, dymem świec, szeptami dobiegającymi z sąsiedniego pokoju, błyskiem ciekawych oczu. Ciężar tysięcy kilogramów zawisł pod niskim bielonym sufitem.

A za zamkniętymi oknami jest maj, co przebiegł swoją zielenią po polach, łąkach, ogrodach, i bojąc się zimnego wieczoru, skrył się w czarnym lesie.

Liście powycinane w małe serduszka drżą na wietrze. Serduszka małych dzieci drżą jak zielone listki.

Duszny zapach kwiatów wędnących z upału. Wieńce, na których etykiety określają pokrewieństwo ofiarodawcy ze smutnym panem, leżącym z zamkniętymi oczami i rękami skrzyżowanymi na piersiach. Białe tulipany równie dobrze mogłyby być w ślubnej wiaźance córki majstra Mateusza, która właśnie w miasteczku przygotowuje się do tej uroczystości.

„Panu Inżynierowi — Pracownicy“ szepce metalowy wieniec oparty o ścianę. Zapach chleba odjętego od ust bezrobotnych. Właśnie dziś rano żona majstra Mateusza pożyczyła na ten wieniec paru dziewczynom, nie pracującym już oddawna w fabryce. Szkoda że Pan Inżynier właśnie przymknął oczy: napewno uśmiechnąłby się. A tak dawno się już nie uśmiechał. Ostatni raz może wtedy, gdy wręczył nieznajomej pani pierwsze znalezione w tym roku trzy leśne fiołki, może gdy w początku miesiąca wypił w miasteczku butelkę czystej wódki z przygodnie spotkanym cyganem-koniokradem, a może wtedy, gdy Franka zrobiła mu tak piękną latę na

rozlatującej się koszuli. Nie, tego ostatniego uśmiechu Pana Inżyniera nikt nie pamięta, bo to przecież jest tak „bez znaczenia“.

Franka w swojej „odsświętnej żałobie“ stoi u nog trumny.

Franka jest kucharką u Pana Dyrektora. Mieszkanie Pana Dyrektora jest na pierwszym piętrze, właśnie nad mieszkaniem Pana Inżyniera. Mała sionka i dwadzieścia schodów oddziela te mieszkania. Nogi Franki wiedzą napewno, że tych schodków jest dwadzieścia. One nauczyły się tego na pamięć.

...Jeszcze wczoraj w nocy prosił, żeby nie odchodziła, bo boi się sam zostać, że coś go strasznie dusi, że oddychać nie może.

Podpuchnięte oczy Franki patrzą bezbarwnie przed siebie. Kawalkiem waty ściera delikatnie krew z ust Pana Inżyniera.

„To od chwili, kiedy syn przyjechał“ szepcą usta i oczy zebranych.

Nikt go tu przedtem nie widział. Ale o tem, że miał syna, wie i cygan-koniokrad, z którym właśnie miesiąc temu upił się w miasteczku dokumentnie, i Franka, i niektórzy inni.

Franka wie wszystko. Niez to razy oglądała fotografię wysmukłego chłopca, którego przyjazdu Pan Inżynier tak oczekiwał. Przyjedzie na Boże Narodzenie, przyjedzie na imieniny, przyjedzie na Wielkanoc.

I przyjechał. Tylko Pan Inżynier śpi z mocno zamkniętymi oczami i nikt go obudzić nie potrafi, nawet Franka, która — gdy chodził do pracy — umiała tak ładnie budzić co rana.

Znowu delikatnie wyciera mu krew z ust, która wąskiem pasemkiem płynie. Krew jest czerwona, jak protest przeciw śmierci, protest, który przez nikogo nie będzie wysłuchany.





Franka miała męża. A śliczny był, a wysoki, a czarny. Wszystkie dziewczyny jej go zazdrościły. Takiego mieć chłopca. Przyszła wielka powódź, ratował jakiegoś człowieka, kurcz go złapał, na dno poszedł. Na trzeci dzień wyciągnęli go; śliczny był tak jak nigdy, tylko że blady, jak śmierć; ale na powietrzu to kolorów dostał i uśmiechał się tak jak dawniej, tak jak przez niecałe dwa lata, co ze sobą żyli.

Potem to poszła do Pana Dyrektora na służbę i u Pana Inżyniera sprzątała; przynosiła mu jedzenie, szyla guziki i chciała zrozumieć, co to za serce go boli. A potem to i na serce zachorował; coraz rzadziej wychodził na spacer; ze słuchawkami radjowemi na uszach leżał na łóżku, papierosy palił. France też kupił słuchawki; gdy po całodzienniej pracy reperowała mu bieliznę, czy też robiła papierosy, słuchała i ona muzyki.

Pracy Franka miała dużo, bo to i u Państwa na górze, u Pana Inżyniera, a o sobie też trzeba pamiętać.

\*

Zaczął się ruch koło trumny, przyszli ją lutować. Franka wychodzi do ogrodu zaczerpnąć trochę powietrza. Jest zmęczona. Bo to przecież trzy noce nieprzespane. A wstawać trzeba o szóstej.

Oparła się o płotek i przymknęła oczy. Tak, właśnie dwa lata mija od śmierci Andrzeja, a teraz Pan Inżynier. Że to do nikogo nie można się przyzwyczaić, że nie można nikomu nawet służyć. Dobry był ten Pan Inżynier.

Czuje, że ktoś do niej podchodzi. Otwiera oczy. Wysoki blady chłopiec bierze jej spracowaną rękę w dłoń i całuje.

— Wiem, jaka pani była dla mego ojca.

Wielki spokój spływa do jej zmęczonego serca.

— A Pan Inżynier tak bardzo czekał pańskiego przyjazdu — padają okrutne słowa.

Wieczór jest coraz ciemniejszy. Spoza przymkniętych drzwi dobiega syk topionego ołowiu. Trzech ich pracuje koło trumny. Aby nie było ani jednej szparki. Robota musi być uczciwa. Tak, jeszcze z tego boku trzeba poprawić.

Z oddali dolatuje głos dzwonów. Choć to są pierwsze dni budzącej się do życia wiosny, mówią one o śmierci.

Śmierci cichej.

Śmierci człowieka szarego.

Śmierci co przetrwała wieczność oczekiwania kartki z wiadomością „przyjeżdżam“.

Jak robaczki świętojańskie migocą zapalone świece na wietrze. Cała chmara otoczyła trumnę. Stawiają ją na wysokim wozie. — A mocno przewiązać, bo droga do kościoła kamienista.

Sznurują trumnę jak skrzynię jadącą w daleką podróż. Jeszcze raz i jeszcze raz.

Przed samą trumną idzie Franka, nieśie największy wieniec. Największe lzy z jej oczu spadają.

Krok za krokiem posuwa się orszak żałobny.

Nagle zakwitły na granacie nieba dwa wielkie słupy świetlne. To reflektory wojskowe — nie, to drogowaskazy pokazujące kierunek ostatniej podróży Pana Inżyniera.

Na drugi dzień w południe był pogrzeb, ale Franki na nim nie było, bo ktoś ją miał zastąpić w robocie.

\*

Czasami łąza jedna jest bardziej słona, niż całe oceany odległe.

WACŁAW ZYNDRAK-KOŚCIAŁKOWSKI



# Zemsta żonglera

Niczynkiły wypadek zdarzył się podczas przedstawienia. Chiński żongler Fan, rzucając nożami, trafił jednym z nich w szyję swej żony, przecinając arterję. Młoda kochanka zmarła natychmiast. Żongler został niezwłocznie areztowany.

Świadkami tego wypadku byli: dyrektor teatru, pomocnik żonglera, również Chińczyk, konferencier, przeszło trzystu widzów i agent policji, który podczas przedstawienia siedział w głębi sali. Aczkolwiek wypadek zdarzył się na oczach wszystkich, nikt jednak nie umiał powiedzieć, czy była to zbrodnia, czy też nieszczęśliwy przypadek.

Numer żonglera Fana polegał na tem, że żona jego opierała się o grubą deskę wielkości drzwi, a Fan, z odległości jakichś czterech metrów, wydając dzikie okrzyki, rzucał nożami, które, jeden za drugim, jak pierścieniem, okalały ją

całą w odstępach pięciu centymetrów od ciała.

Pierwszym, którego sędzia śledczy badał, był dyrektor teatru.

— Czy ta sztuka jest naprawdę bardzo trudna?

— Nie, dla żonglera tej miary, co Fan, nie przedstawia ona zbyt wiele trudności, wymaga jednak całkowitego opanowania się i nadzwyczajnego skoncentrowania uwagi.

— Można więc przypuszczać, że był to nieszczęśliwy wypadek?

— Oczywiście, czyż taki numer byłby dozwolony w teatrze, gdybyśmy nie byli pewni, że podobna rzecz może się zdarzyć tylko przez nieszczęśliwy wypadek?

— Czy pan nie podejrzewa jednak, że ten wypadek był zgóry przygotowany?

— Nie, panie sędzio, nie sędzę. Trze-



ba sobie uświadomić, że sztuka ta wymaga olbrzymiej wprawy i pewnej intuicji (dyrektor teatru lubi używać słów, których sam nie rozumie). Zonglujący nożami człowiek niezawasze jest pewny swego rzutu z czterometrowego dystansu, nie jest bowiem maszyną. Przed tym nieszczęsnym faktem nie przypuszczałbym nigdy, że podobny wypadek może się zdarzyć. Ale wobec faktu, jaki zaszedł, dochodzę, po zastanowieniu, do wniosku, że nie można tu winić artysty.

— Czem więc pan tłumaczy to, co się stało?

— Jest to dla mnie zupełnie niepojęte!

Sędzia był w rozterce. Miał cały materjał zbrodni, nie miał jednak żadnych dowodów, które wskazywałyby na to, że zbrodnia ta została popełniona z premedytacją; możliwość wypadku nie była wykluczona. Jeśli to jednak było morderstwo, popełniono je po mistrzowsku. Przed sprowadzeniem oskarżonego sędzia postanowił przesłuchać pomocnika Fana, Chińczyka.

— Jakie było zwykle zachowanie się Fana?

— Nienaganne. Nie był pijakiem, ani hulaką, ani graczem. W zeszłym roku przyjął chrzest, włada biegle angielskim i cały wolny czas spędzał na czytaniu Biblii.

— A jego żona?

— Żona jego zachowywała się również nienagannie. Jak panu wiadomo, panie sędzio, wędrowni artyści nie stoją na zbyt wysokim poziomie moralnym: są wśród nich tacy, którzy chętnie uwodzą żonę sąsiada. Ale chociaż żona Fana była kobietą piękną i pociągłą i, przypuszczam, nieraz była przedmiotem pożądania niejednego mężczyzny, nigdy jednak nie przejmowała się tem.

— Jakiego byli usposobienia?

— Oboje byli bardzo dobrzy, bardzo spokojni i bezinteresowni — nigdy się z nikim nie kłócili.

W tem miejscu Chińczyk przerwał

swe opowiadanie i po chwili zastanowienia ciągnął dalej:

— Nie chciałbym, aby pan sędzia źle zrozumiał moje słowa... nie chciałbym, aby to, co powiem, zaszkodzić miało Fanowi, ale pragnąc wszystko szczerze powiedzieć, muszę zwrócić uwagę pana sędziego na jedną dziwną okoliczność: byli dobrzy, łagodni i uczynni dla innych, ale okrutni dla siebie, co nas zawsze bardzo dziwiło.

— Czemuż to tak było?

— Właśnie nie wiem.

— Czy było tak zawsze, odkąd ich pan znał?

— Nie. Przed dwoma laty żona jego urodziła dziecko. Mówiono, że dziecko przyszło na świat przed czasem i dlatego po trzech dniach zmarło. Zauważyłem, że od tej pory stosunki ich stale się pogarszały. Z najbliższej przyczyny wybuchwały kłótnie. W takich momentach Fan stawał się śmiertelnie błądy, milkł jednak zwykle pierwszy i nigdy nie bił swej żony, może jego nowa wiara zabraniała mu brutalności w stosunku do żony. Ale na twarzy jego malowała się wtedy straszliwa wściekłość, której nie umiał ukryć. Pewnego dnia powiedziałem mu: „Jeśli nie zgadzasz się ze swoją żoną, dlaczego mieszkacie razem?” Fan mi odpowiedział: „To żona moja ma powody, aby żądać rozwodu, a nie ja”<sup>1)</sup>. Fan był za bardzo uparty, aby zmienić swoje stanowisko w tej sprawie. Nie mógł kochać swej żony, a ona, widząc, że straciła miłość męża, powoli zaczęła go nienawidzić — to zupełnie naturalne zjawisko. Tak też i Fan to tłumaczył. Mam wrażenie, że czytanie Biblii było dla niego ucieczką i ratunkiem przed nienawiścią dla swej żony, która nie zasługiwała na tę nienawiść. Jej los był nie do pozazdrośczenia. Trzy lata żyła z Fanem. Jak wszyscy wędrowni artyści, ciągle była w rozjazdach; jej starszy brat, który został na ojcowiznie, zmarnował wszystko. Gdyby chciała porzucić Fana, nie miałyby poco wracać do swego miasta

<sup>1)</sup> Według japońskich obyczajów, rozwodu domagać się musi winny, a nie pokrzywdzony.



rodzinnego. Któżby chciał poślubić kobietę, która przez cztery lata włóczyła się z bandą komedjantów po wszystkich drogach kraju? Toteż, sądzę, dlatego tylko żyła z Fanem, że nic innego już nie mogła z sobą uczynić.

— Cóż pan myśli o samym wypadku?

— Pan sędzia pyta, czy on to zrobił naumyślnie, czy przypadkowo?

— Tak.

— Mówiąc prawdę, zastanawiałem się długo nad tą kwestją, ale doszedłem do wniosku, że sam nic nie rozumiem.

— Dlaczego?

— Nie umiem na to odpowiedzieć, ale tak jest; pytałem konferenciera, co myśli o tym wypadku: powiedział mi tak samo, że nic nie rozumie.

— Ale co pan przypuszczał w chwili, kiedy się to stało?

— O, pomyślałem... pomyślałem: „Masz tobie... zabił ją“.

— Ach, tak...

— Ale konferencier podobno pomyślał: „Nie udało mu się...“

— Czyżby? Może dlatego tak pomyślał, że nie znał bliżej ich stosunków domowych?

— To możliwe. Ja znów sądziłem, że

właśnie dlatego, iż znałem je, w pierwszej chwili pomyślałem, że to morderstwo.

— Jakie było zachowanie Fana?

— Krzyknął: „Ach!“. Ten okrzyk właśnie zwrócił moją uwagę, a kiedy spojrzałem, zobaczyłem krew płynącą z szyi kobiety, która jeszcze chwilę stała, potem upadła na kolana, ciało przechyliło się na stronę, gdzie utkwiał nóż, a kiedy nóż wypadł, osunęła się bezwładnie na ziemię. W pierwszej chwili nikt z nas nie poruszył się, byliśmy zmiążdżeni tym widokiem. Oczywiście nie mogę dokładnie opisać, co robił w ciągu tych kilku sekund Fan, bo go nie obserwowałem, sądzę jednak, że był tak samo zdumiony jak my... Kiedy po chwili mózg mój przeszyła świadomość, iż ją zabił, zobaczyłem, że był błyśnięty jak trup i miał zamknięte oczy. Spuszczono kurtynę i podniesiono kobietę — nie żyła już. Wzruszenie, malujące się na twarzy Fana, sprawiało niesamowite wrażenie. „Jak mogłem popełnić podobną nieostrożność!“ — wykrzyknął, rzucając się na kolana i zatopił się w modlitwie.

— Czy nie sprawiał wrażenia warjata?

— Tak. Wyglądał wprost niesamowicie.

— Dziękuję panu. Jeśli będę miał jeszcze jakie wątpliwości, poproszę pana do siebie.

Po przesłuchaniu świadków sędzia kazał sprowadzić oskarżonego.

Sprowadzono Fana. Był bardzo błyśnięty, rysy zaostrzyły mu się. Sprawiał wrażenie człowieka rozgarniętego. Z pierwszego wejrzenia sędzia zrozumiał, że oskarżony znajduje się w stanie silnej depresji nerwowej.

— Badałem już dyrektora teatru i twego pomocnika; teraz kolej na ciebie — powiedział sędzia do Fana, kiedy ten usiadł. Fan pochylił głowę.

— Czyś kochał swoją żonę?

— Od dnia ślubu do dnia urodzenia się dziecka kochałem ją nad życie.

— Co było przyczyną waszego złego pożycia?

— Świadomość, że dziecko, które zo-



na moja wydała na świat, nie jest mo-  
jem dzieckiem.

— Czyś znał jej kochanka?

— Sądzę, że był to jej kuzyn.

— Czy go znasz?

— Był naszym serdecznym przyja-  
cielem. On pierwszy zaczął mówić o na-  
szym małżeństwie, on też był moim  
swatem.

— Czy żona twoja miała z nim sto-  
sunek przed ślubem?

— Oczywiście: dziecko urodziło się  
w osiem miesięcy po naszym ślubie.

— Twój pomocnik oznajmił mi, że  
dziecko przedwcześnie przyszło na  
świat.

— Ja sam rozpuściłem taką pogłoskę.

— Dziecko zaraz zmarło, nieprawdaż?

— Tak, dziecko umarło...

— Na co umarło?

— Uduszone piersią swej matki...

— Czy żona twoja uczyniła to roz-  
myślnie?

— Powiedziała mi, że przypadkowo.

Sędzia umilkł i badawczo wpatry-  
wał się w twarz Fana, który spuścił  
oczy w oczekiwaniu na następne py-  
tania.

Sędzia ciągnął dalej swe badania:

— Czy żona twoja zwierzyła ci się  
ze swego stosunku z kuzynem?

— Nic mi nie mówiła. Ja też  
o nic nie pytałem — uważałem, że  
śmierć dziecka była pokutą za jej  
grzech, i że powinienem być względem  
niej wspaniałomyślny w miarę możli-  
wości.

— Chcesz przez to powiedzieć, żeś  
nie mógł jej tego zupełnie wybaczyć?

— Tak jest... miałem ciągle uczucie,  
że śmierć dziecka nie była dostateczną  
karą za jej grzech. Kiedy myślałem  
o tem wszystkim, zdala od niej, by-  
łem skłonny przebaczyć jej, ale gdy ją  
widziałem, nie wiem, co się ze mną  
działo: widok jej wprawiał mnie w stan  
rozdrażnienia, nad którym nie umia-  
łem zapanować.

— Czyś myślał o rozwodzie?

— Myślałem o tem często, ale nie  
mogłem się zdecydować mówić z nią  
o tem.

— Dlaczego?

— Bo jestem słabym człowiekiem.  
A może też dlatego, że żona moja nie-  
raz mi mówiła, iż rozwiodłszy się ze  
mną, nie mogłaby już żyć.

— Więc cię kochała?

— Nie, nie kochała mnie.

— Cóż więc mogło znaczyć to jej  
powiedzenie?

— Myślę, że chciała mi powiedzieć,  
iż zwyczajnie nie miałyby z czego żyć;  
ojcoważna jej była zrujnowana przez  
najstarszego brata: będąc kilka lat  
żoną wędrownego aktora, rozumiała  
bardzo dobrze, że żaden solidny czło-  
wiek nie będzie jej chciał pojąć za  
żonę, a pracować nie mogła, bo miała  
za małe nogi.

— Jaki był wasz wzajemny stosunek  
fizyczny?

— Przypuszczam, że taki sam, jak  
w innych małżeństwach, nie anormal-  
nego w nim nie było.

— Czy żona twoja odnosiła się do  
ciebie przychylnie?

— Nie, nie przypuszczam, by czuła  
do mnie sympatję. Raczej sądzą, że po-  
życie ze mną było dla niej tak wiel-  
kiem cierpieniem, jakiego żaden męż-  
czyzna nie umiałby znieść. Zimnemi  
i okrutnemi oczami patrzyła na po-  
wolne staczanie się całej mojej kariery.  
Próbowałem się ratować, chciałem so-  
bie jakoś życie urządzić; znosiłem  
tortury, a ona patrzyła na to z okru-  
cieństwem.

— Czemuś nie traktował jej jak  
obcej?

— Bo miałem różne chęci i zamiary.

— Jakież to?

— Staralem się być zawsze w porząd-  
ku, nie być w niczem winnym; mimo  
to sytuacja moja nie poprawiła się.

— Czyś nigdy nie myślał o tem, by  
zabić swoją żonę?

Fan nie odpowiedział. Sędzia powtó-  
rzył pytanie. Przez chwilę jeszcze Fan  
milczał, nakoniec przemówił:

— Myślałem, że byłoby to wielkiem  
szczęściem, gdyby ona umarła przede  
mną.

— Czy mam przez to rozumieć, że  
hyłyś ją chętnie zamordował, gdybyś  
się nie bał skutków prawnych?



— Nie, jeśli nie myślałem o tem, by ją zabić, to nie dlatego, że się bałem prawa, ale dlatego, że jestem człowiekiem słabym; a jeśli pragnąłem jej śmierci, to tylko dlatego, że, wbrew mej słabości, pragnąłem prawdziwego i szczęśliwego życia.

— Ale później obmyślałeś jednak plan zamordowania twojej żony?

— Nie, nie mogłem się na to nigdy zdecydować, ale myślałem o tem.

— Kiedyś o tem myślał?

— Noc przed wypadkiem, a może nawet tego ranka.

— Czyście się kłócili tego dnia?

— Tak.

— Co było powodem tej kłótni?

— Ach, powód był taki banalny, że nie warto o tem mówić.

— Spróbuj mi to jednak opowiedzieć.

— Pokłóciliśmy się o jedzenie. Jestem zawsze zły, kiedy jestem głodny. Żona moja nie spieszyła się ze śniadaniem, i to mnie straszliwie rozdrażniło.

— Czy byłeś bardziej brutalny niż zazwyczaj?

— Nie, ale po tej kłótni poczułem się bardzo wyczerpany. Żyłem ciągle w silnem podnieceniu nerwowem, z ustawiczną myślą o tem, że żyję inaczej, niż powinienem żyć. Położyłem się do łóżka i nie mogłem zasnąć. Byłem silnie zdenerwowany, i najrozmaitsze myśli przychodziły mi do głowy. Myślałem sobie, że choć będę się przewracał z boku na bok, nic mi to nie pomoże, że nigdy już nie zaznam spokoju, że nigdy nie osiągnę tego, co zamierzam, że nigdy nie uwolnię się od tego, czego nie znoszę, że to życie, pełne straszliwych wątpliwości, jest okropne i że to wszystko pochodzi ze stosunku mego do mojej żony. Nie widziałem żadnego płomyka nadziei w mej przyszłości, a tak bardzo go pragnąłem, że chciałem go bodaj stworzyć z nicości. I znów zrozumiałem, że nic nigdy mi nie zaswieci, bo przeszkodą do tego jest moja żona. Ale żądza innego życia we mnie rosła. Wiedziałem, że wszystkie cierpienia i złość zatrują mnie zupełnie, że je-



śli się nie opanuję, stanę się żyjącym trupem. I, mimo wszystko, chciałem się zmusić, by znieść to wszystko bez skargi. A z drugiej strony myśl moja ciągle wracała do koncepcji szczęścia w razie śmierci mojej żony. Czemu jej nie zabiłem? Konsekwencje morderstwa nie miały żadnego znaczenia dla mnie. Wtrąconoby mnie do więzienia. Życie w więzieniu nie byłoby straszniejsze od tego, jakie prowadziłem. Ale mówiłem sobie, że życie wymaga od nas pewnych wysiłków, i że trzeba umieć stawić czoło przeciwnościom, które napotykamy. Trzeba walczyć... walczyć od chwili, kiedy się dochodzi do wniosku, że dłużej już walczyć nie można. Taka właśnie zawzięta walka, walka aż do śmierci



była racją mego bytu. Chwilami zapomniałem, że żona leży przy mnie; przeżywanie zmęczyło mnie, ale zmęczenie tego rodzaju nie sprowadza snu. Byłem jak oszołomiony... Nad ranem, kiedy nerwy moje trochę się uspokoiły, myślałem o zabójstwie zbladła. Ogarnęło mnie uczucie smutku i samotności, jak po ciężkim śnie, i czułem się zgnębiony, widząc słabość mego serca, tak mocnego kiedyś... Nakoniec noc się skończyła. Pan sędzia rozumie, że żona moja nie spała również całą noc.

— Jakie było wasze zachowanie po tej nocy?

— Nie zamieniliśmy ze sobą ani jednego słowa.

— Cemuś nie uciekł od twojej żony?

— Chce pan przez to powiedzieć, że w ten sposób mogłem osiągnąć mój cel.

— Tak jest.

— Dla mnie jednak sprawa ta przedstawia się inaczej.

Powiedziawszy to, Fan zamilkł i spojrzał na sędziego, który łagodnie skinął głową.

— Między chwilą, kiedy naprawdę chciałem ją zamordować, a temi, w których przeżywałem wszystkie moje myśli, jest cała przepaść. Tego ranka byłem silnie zdenerwowany bez żadnej wyraźnej przyczyny. Nerwy moje były naprężone do ostatecznych granic, byłem bez sił i wyczerpany ogólnie; nie mogłem usiedzieć na miejscu i z samego rana udałem się na przechadzkę. Wybrałem okolicę, gdzie byłem pewny, że nie spotkam nikogo. Myślałem, że muszę coś przedsięwziąć natychmiast, nie dawała mi spokoju, ale myśl zamordowania mej żony, jaka trapiła mnie w nocy, opuściła mnie i nie myślałem o wieczorowym przedstawieniu. Możliwe, że gdyby mi to wcześniej przyszło do głowy, wybrałbym jakiś inny numer: w repertuarze naszym mieliśmy bardzo dużo innych wspólnych i ciekawych numerów... Wieczorem, kiedy nadszedł moment ukazania się na scenie, nie myślałem o morderstwie. Jak zwykle, chcąc pokazać publiczności, jak ostre są noże, którymi rzucam, ciąłem arkusze papieru i ostrza-

mi rzucałem w podłogę sceny. Żona moja ukazała się niebawem! była bardzo naszminkowana i ubrana w chińską suknię o jaskrawych barwach; wygląd jej również nie różnił się niczem od zwykłego. Uśmiechem pełnym czaru powitała publiczność i stanęła przed deską. Z nożem w ręku stanąłem przed nią w zwykłym oddaleniu. Po raz pierwszy od nocy spojrzenia nasze się spotkały, i w tej samej chwili zrozumiałem niebezpieczeństwo wyboru tego właśnie numeru na ten wieczór i konieczność panowania nad sobą. Zrozumiałem, że muszę się za wszelką cenę opanować i odprężyć nerwy, naciągnięte do ostateczności. Mimo wszelkie jednak wysiłki, zmęczenie, które mnie całego ogarnęło, nie pozwalało mi panować nad sobą. W tej chwili poczułem, że tracę zaufanie do nieomylności mej dłoni. Próbowałem na sekundę zamknąć oczy, ażeby odzyskać spokój... wtedy poczułem, że ciało moje zlekka się chwieje...

Nadszedł decydujący moment... Pierwszy nóż rzuciłem nad głowę. Utkwił o centymetr wyżej, niż zazwyczaj; następnie rzuciłem dwa noże pod ręce mojej żony, które trzymała rozpostarte na wysokości ramion. Miałem ciągle wrażenie, jakby noże były przyklepione do moich palców jakąś kleistą substancją... Zdawało mi się, że nie wiem, dokąd je rzucam... Po każdym rzucie mówiłem sobie: „teraz dobrze“... „spokojnie... spokojnie... muszę być spokojny“... Ale im bardziej o tem myślałem, tem mniej ręka moja stawała się pewna. Rzuciłem nóż z lewej strony szyi mojej żony i w chwili, kiedy miałem rzucić następny nóż, na prawą stronę, w oczach jej zabłyśła tak straszliwa trwoga, że twarz jej się zupełnie zmieniła. Czy miała przeczucie, że biegnący ku niej nóż trafi ją w szyję? Tego nie wiem... czułem tylko, jak jej potworny strach przeszywa moje serce z taką samą siłą... Miałem uczucie, że mdleję... i, zdając się już tylko na siłę mej ręki, nie widząc celu, jakgdybym miał oczy otwarte w ciemności, rzuciłem nóż, który trzymałem w dłoni...

Sędzia milczał.

— Nakoniec pomyślałem: „zabiłem ją“.

— Dlaczego to mówisz? Czy chcesz przez to powiedzieć, żeś zrobił to namyślnie?

— Tak jest... w pierwszej chwili miałem wrażenie, że zrobiłem to rozmyślnie.

— Podobno ukląkłś koło jej trupa i zacząłś się modlić?

— To był podstęp, który mi przyszedł do głowy. Wiedziałem, że wszyscy uważają mnie za gorliwego chrześcijanina i że wszyscy zwrócą uwagę na ten mój gest.

— Byłeś więc pewny, żeś działał z premedytacją?

— Absolutnie pewny, ale zrozumiałem jednocześnie, że będzie mi bardzo łatwo udowodnić, że czyn mój popełniłem przez nieostrożność.

— Co jednak skłaniało cię do przypuszczenia, żeś działał świadomie?

— To dusza moja, która straciła swą równowagę.

— I sądziłeś zapewne, że ten podstęp ci się uda?

— Nie mogę myśleć o tem bez drżenia: mój strach, moje zmieszanie i przerażenie były aż nadto dla wszystkich widoczne i wystarczyło jednego przenikliwego spojrzenia, aby odgadnąć, co czułem. Na wspomnienie mego zachowania się zimne poty uderzały na mnie. Tego wieczoru postanowiłem uczynić wszystko, aby się uniewinnić. Rozumując logicznie, z całym spokojem doszedłem do wniosku, że nikt nie ma żadnych dowodów mojej winy. Oczywiście całe nasze otoczenie wiedziało, że nie żyjemy zgodnie, było jasne, że w niektórych umysłach mogło się zrodzić podejrzenie, że czyn mój był rozmyślny, ale, jeśli ja będę uparcie twierdzić że to był nieszczęśliwy wypadek, nie będą mi mogli nic przeciwstawić. „Czy nasze codzienne kłótnie mogły wzbudzić podejrzenie?“ zapytywałem sam siebie. Możliwe, ale nikt nie będzie mógł tego udowodnić, a ja zostanę uniewinniony. Przeżywałem więc w sobie cały dramat i starałem się znaleźć dostatecznie silne argumenty, ażeby upewnić wszystkich, że był to tylko nieszczęśliwy wypadek.

Ale nagle zrodziła się we mnie pewna wątpliwość. Jakaż to siła kazała mi myśleć po wypadku, że zabiłem umyślnie? Poprzedniej nocy pragnąłem zabić moją żonę: czyżby te wspomnienia właśnie kazały mi wierzyć, że czyn mój był rozmyślny? Tak rozumując, zatraciłem sam kontrolę nad swemi myślami. I nagle chwycił mnie niepokój: zdenerwowanie nie pozwoliło mi usiedzieć na miejscu... uczucie niebiańskiego szczęścia ogarnęło mnie całego, uczucie tak bezgranicznego szczęścia, że chciałem głośno krzyczeć...

— Doszedłeś więc do wniosku, że zbrodnia była wynikiem nieszczęśliwego wypadku?

— Nie, nie myślałem tak, ale uświa-



domiłem sobie, że sam nie rozumiem, co się właściwie stało; a potem pomyślałem że, jak wszystko to szczerze opowiem na zeznaniu, zostanę uniewinniony. Być uniewinnionym za wszelką cenę, stało się dla mnie najważniejsze... Ażeby to osiągnąć, należało, zamiast oszukiwać siebie i udowadniać brak winy, wyznać wszystko szczerze i powiedzieć, że nie wiem, co zrobiłem, nie mogę bowiem stwierdzić, że był to przypadek, ale nie mogę również przysiąc, że była to rozmyślna zbrodnia. Sytuacja moja jest taka, że nie stanowczo stwierdzić sam nie mogę.

Fan umilkł. Sędzia przez chwilę też nic nie mówił. A potem, jakgdyby sam do siebie, powiedział:

— Wygląda to wszystko dość prawdopodobnie. Czyś nie czuł żalu po śmierci twej żony?

— Najmniejszego... Nie przypuszczałbym nigdy, nawet w dniach najgłębszej nienawiści, że przyjdzie dzień, kiedy o śmierci jej będę opowiadał z taką radością.

— Dobrze... możesz odejść — powiedział sędzia.

Fan wyszedł z pochyloną głową.

\*

Sędzia poczuł się głęboko wzruszony. Chwycił natychmiast pióro i napisał:

„— NIEWINNY —“

SHIGA NAOYA

Z japońskiego przełożył

Michał Derenicz





# BIOGRAFJA PISARZA

Kiedy po śmierci Ashtona Doyne, zaledwie po trzech miesiącach, zwrócono się do Jerzego Withermora w sprawie napisania biografii, to propozycja wychodziła bezpośrednio od jego wydawcy, który zresztą miał o wiele więcej powodów dla uważania siebie za wydawcę Doyne'a. Poza tem Withermora wcale nie zdziwiło to, że na szybkim ukazaniu się biografii, jak się okazało w rozmowie z wydawcą, która odbyła się po propozycji pisemnej, zależy szczególnie wдовie po zmarłym. Stosunek Doyne'a do żony, o ile wiedział o tem Withermor, były oddzielną kartą w życiu pisarza i, między innemi, wymagałby od biografa wyjątkowego taktu. Ale już od pierwszych dni jej ciężkiej straty, rozpacz biednej kobiety po tem co straciła i być może po tem, czego zawsze była pozbawiona, ujawniała się dość wyraźnie, by przygotować nawet nie wtajemniczonego, do konieczności pewnych wygłędzeń, i pewnej być może przesady, w trosce o imię wielkiego pisarza. Jerzy Withermor uważał siebie za wtajemniczonego, ale nigdy się nie spodziewał, że pani Doyne wskaże właśnie jego, jako tę osobę, której gotowa jest zaufać materiały do książki.

Materiały te — dzienniki, listy, uwagi, notatki, dokumenty wszelkiego rodzaju — były jej własnością i znajdowały się całkowicie do jej dyspozycji. Dziedzictwo było oddane jej bez żadnych ograniczeń, mogła więc robić z niem, co chciała, mogła nawet nie nie robić.

Co z tych materiałów ogłosiłby Doyne, gdyby miał czas się o to zatroszczyć, można było tylko odgadywać i przypuszczać. Śmierć zabrała go zbyt wcześnie i zbyt niespodzianie, a było to tem smutniczsze, że wszystkie życzenia, które on, o ile wiadomo, wypowiadał, nie w tej sprawie nie mówiły. Umarł nagle:

nie zerwała się i trzeba było rozwikłać jej zaplątany koniec.

Withermor zdawał sobie sprawę z tego, jak bliski był mu zmarły, ale odczuwał również to, jak wiele w nim pozostało niejasnego. Withermor był młody, beztroski, z zawodu dziennikarz, krytyk, który do tego czasu nie wykazał się niczem szczególnem. Pisma jego były krótkie i skąpe. Znajomości miał nieliczne i nieokreślone. Doyne zaś, wprost przeciwnie, żył dość długo, a przede wszystkim był odpowiednio utalentowany, aby zdohyc sławę, a wśród wielu jego przyjaciół niemniej sławnych, znalazłby się niejeden, do którego żona, według opinii powszechnej powinna była się zwrócić.

Wyróżnienie, jakim bezwątpienia obdarzyła Withermora, i to bardzo taktownie, pozostawiając pewną swobodę, wywołało w naszym bohaterze przeświadczenie, że powinien pójść do niej, że w każdym razie, trzeba będzie pogadać o wielu rzeczach. Pośpieszył z napisaniem do niej, ona zaś nie zwlekała z odpowiedzią, wyznaczając godzinę. I doszli do porozumienia. Wyszedł od niej bardziej jeszcze umocniony w swych myślach. Była dziwną kobietą i bynajmniej nie wydawała mu się pociągającą, mimo to było coś wzruszającego w jej silnym i ślepym porywie. Książką chciała zasłonić przeszłość i ten, którego wybrała ze swego koła znajomych, prawdopodobnie dlatego, że wydawał jej się bardziej uступliwy, winien był wszelkimi sposobami pomóc jej w tym porachunku.

Za życia Doyne'a odnosiła się do niego niezbyt poważnie, ale biografia powinna służyć za wyczerpującą odpowiedź na wszystkie skierowane przeciw niej oskarżenia.

Nie zdając sobie sprawy jasno z tego, jak pisze się takie książki, zasięgnęła

informacji i udało jej się czegoś dowiedzieć. Withermor spieszył się nieco, kiedy zrozumiał, że chciałaby mieć możliwość wyczerpującej biografje. Mówiła o wielotomowej pracy, ale w tej sprawie miał on swój pogląd.

— Pomyślałam odrazu o panu, tak, jak pomyślałby on sam — powiedziała prawie w tej samej chwili, kiedy przyjęła go, ubrana w ciężką żałobę. Wielkie czarne oczy, wysoko upięte czarne włosy, duży czarny wachlarz i czarne rękawiczki — oto był utrwalający się w pamięci obraz chudej i brzydkiej, ale eleganckiej, w pewnym sensie, kobiety. — Pana lubił bardziej niż wszystkich, bardzo lubił.

I to wystarczyło, żeby się Withermorowi przewróciło w głowie, chociaż następnie nieraz zadawał sobie pytanie, czy ona tak dobrze знаła Doyne'a, by być tego pewną. Mógłby zresztą sam powiedzieć, że na jej świadectwie w tej sprawie nie można było polegać. Ale niema dymu bez ognia: wiedziała chyba, co chce powiedzieć, a nie miała przecież żadnych powodów do tego, by mu pochlebiać. Nie odkładając sprawy, weszli razem po schodach na górę, do opustoszałej pracowni wielkiego pisarza, której okna wychodziły na wspaniałe, zielony ogród — piękne i natelnione otoczenie dla oka nieprzywykłego do przepychu Whitermora, najzupełniej przeciętne dla gustu ludzi zamownych.

— Będzie tu się dobrze panu pracować — powiedziała pani Doyne. — Oddaję panu pokój do dyspozycji. Szczególnie wieczorami bywa tu cicho i samotnie. Nieprawda, jak tu miło?

„Rzeczywiście dobrze“, pomyślał młody człowiek, oglądając pokój i wyjaśnił, że pracuje w gazecie wieczornej i ma godziny poranne zajęte, toteż będzie przychodził wieczorami. Wszystko w pokoju należało do ich zmarłego przyjaciela, wszystko było pełne jego, wszystko czego dotykali, było częścią jego życia. Wzruszyło to bardzo Withermora — taki wielki zaszczyt i wielka odpowiedzialność — ogarnęły go wspomnienia niedawnej przeszłości, serce zabiło sil-

niej, w oczach ukazały się łzy, a napętniające go uczucie oddania, wydało mu się ciężarem nie do zniesienia. Na widok jego łez zwilgotniały rzęsy pani Doyne i przez minutę patrzyli na siebie w milczeniu. Czekał aż jej się wyrwą słowa: „Niech mi pan pomoże, pan wie przecież, co chciałabym odczuć“. Po pewnym czasie, któreś z nich, wszystko jedno które, powiedziało przy milczącej aprobacie drugiego: „Jesteśmy tu z nim“. Ale właśnie Withermor powiedział, kiedy wychodzili z pokoju: „Tu on jest z nami“.

Whithermor zaczął przychodzić, skoro tylko był wolny i wówczas odrazu, już od pierwszego wieczora, w zaczarowanej ciszy, w świetle lampy i płonącego kominka, przy opuszczonych storach, zaczęło się dla niego osobliwe, wytężone życie duchowe. Zostawiał za sobą chmurny, londyński październik, przechodził przez wielki, cichy dom i szedł na górę, po wyścielanych czerwonym dywanem schodach, gdzie na spotkanie bezszelestnie zjawiała się wyszkolona pokojówka, a przez otwarte drzwi migała królewska żałoba i życzliwa, tragiczna twarz pani Doyne, a następnie za jednym dotknięciem ciężkich, rzeźbionych drzwi, wydających przyjemny dźwięczny trzask, zamykał się na trzy, cztery godziny obezwania z duchem, jak zazwyczaj twierdził, swego zmarłego mistrza. Przelał się nie na żarty, kiedy pierwszego wieczora stało się dla niego jasne, że w istocie przyciąga go najbardziej, rzadka i drogocenna okazja przebywania z mistrzem i nauczycielem. Przyszło mu wtedy właśnie do głowy, że nie zastanawiał się jeszcze nad sprawą książki, a było wiele spraw, o których należało pomyśleć; pociągnięty przywiązaniem do Doyne'a i uwielbieniem pisarza, nie mówiąc już o mile polechtanej próżności, nie oparł się pokusie i dał swą zgodę pani Doyne.

Jak mógł wiedzieć, nie zastanawiając się głębiej — pytał samego siebie — jaka książka jest wogóle potrzebna? Czy Ashton Doyne dał mu jakiegokolwiek upoważnienie do tak intymnego zbliżenia? Opis życia ludzkiego jest wielką



sztuką, ale są różne życia i różni ludzie. Myśląc o tem, przypominał sobie mgliście uwagi wypowiedziane przez Doyne'a o współczesnych badaniach, aluzje na temat, jakby on sam odcyfrował ten czy inny charakter, taką czy inną sytuację. Przypominał sobie również, jak w innych chwilach przyjaciel jego wypowiadał poglądy, że biografje pisarzy, poza „Johnsonem“ Bothwella i „Scottem“ Lokharta, mogłyby zostać raczej nienapisane. Artysta jest tem, co stworzył i niczem innym.

Z drugiej zaś strony, jakże miał on, skromny i nieznany Jerzy Withermore, nie uchwycić się okazji spędzenia całej zimy w kontakcie z barwną indywidualnością Doyne'a? Oślepiło go to poprostu, oto w czem była rzecz! Nie „warunki“ wydawnictwa, chociaż były nienajgorsze, jak mówiono w redakcji — sam Doyne, zetknięcie z nim, z jego osobą — oto co pociągało Withermora, niż za życia. Dziwne, że śmierć ma w porównaniu z życiem mniej tajemnic, mniej zagadek. Pierwszego wieczora, kiedy młody pisarz pozostał sam w pokoju, przyszło mu do głowy, że po raz pierwszy jest rzeczywiście blisko ze swym mistrzem.

## II

Najczęściej pani Doyne pozostawiała go demonstracyjnie samego, ale dwa, trzy razy przyszła popatrzeć, czy ma wszystko, czego mu potrzeba. Korzystał z tej okazji, by jej podziękować za tę troskliwość i umiejętność z jaką przygotowała wszystko, co mu ułatwiała pracę. Niektóre z materiałów przejrzała sama i zdążyła posortować listy. Więcej jeszcze: od razu oddała mu wszystkie klucze od skrzyń i szaf, wskazując przytem, gdzie się znajdują odpowiednie dokumenty. Krócej mówiąc, wprowadziła go gruntownie we władanie; i czy miała zaufanie męża czy nie miała go, ale przyjacielowi swego męża okazywała pełne zaufanie.

I mimo to, Withermore nie mógł pozbyć się myśli, że pani Doyne, wbrew

swym wysiłkom jest niespokojna, że jakiś nieuchwytny lęk niezmiennie towarzyszy tej ufności. Jakkolwiek była ogromnie taktowna, to jednak jej obecność czuło się bardzo wyraźnie. Subtelnym szóstym zmysłem, zrodzonym przez tę sytuację, odczuwał jej obecność na platformie schodów, za drzwiami. Lekki, prawie bezdźwięczny szmer sukien, mówił mu o tem, że ona czuwa i czeka. Pewnego razu wieczorem, kiedy zagłębiony w czytaniu listów, siedział przy biurku swego przyjaciela, coś go nagle zmusiło do drgnięcia i odwrócenia się. Poczul, że ktoś stoi za nim. Pani Doyne weszła, otworzywszy bezszelestnie drzwi i uśmiechnęła się wymuszonym uśmiechem, kiedy Withermore zerwał się z miejsca.

— Czy przestraszyłaś pana? — zapytała.

— Trochę. Tak zagłębiłem się w pracy... Zdawało mi się, że to on... — wyjaśnił Withermore.

Zdziwienie bardziej jeszcze uwydatniło niezwykłość jej twarzy.

— Ashton?

— Wydaje się, że on tu jest tak blisko... — powiedział Withermore.

— Panu także?

Zdumiało go to.

— To znaczy, że i pani również?

Czekała, nie poruszając się z tego miejsca, na którym zatrzymała się i ogłądała pokój, jakgdyby starała się przeniknąć wzrokiem najciemniejsze zakątki. Miała zwyczaj zakrywania dolnej części twarzy wielkim czarnym wachlarzem, z którym widocznie nigdy się nie rozstawała, i tem dziwniej spoza wachlarza spoglądały jej poważne oczy.

— Czasami.

— Czuje się tu, że on w każdej chwili może wejść. Oto dlaczego zerwałem się z miejsca. Tak niedawno jeszcze wchodził tu na jawie. Przecież to było dopiero wczoraj. Siedzę na jego fotelu, przeglądam jego książki, piszę jego piórem, poruszam węgiel w jego kominiku — wszystko zupełnie tak jakgdybym czekał na niego, wiedząc, że ma zaraz powrócić ze spaceru. W tem jest pewien urok, ale to jest dziwne.



Pani Doyne nie opuszczając wachlarza, słuchała z zainteresowaniem.

— Pana to niepokoi?

— Nie, ani odrobinę.

Niepewnie zaczęła mówić:

— Czy nie wydaje się panu niekiedy, że on... sam... jest tu, w pokoju?

— Wspominałem już, że właśnie tak mi się wydało, kiedy pani weszła i stanęła za mną — uśmiechnął się Withermor. — Czegóż my wreszcie chcemy, jeśli nie tego, by on był z nami?

— Tak, jak to pan wówczas powiedział... pan pamięta, pierwszego wieczora? — Wzrok jej wyrażał całkowitą pochwałę: — „Oczywiście, to on jest z nami“...

Spojrzała poważnie, ale Withermor odpowiedział z uśmiechem:

— Powinniśmy byli wtedy go zatrzymać. Powinniśmy robić tylko to, czego on sobie życzy.

— O, tylko to, oczywiście, tylko to. Ale jeżeli jest tutaj? — i spojrzenie jej smutnych oczu, zdawało się, wyrażało jakiś nicokreślony strach.

— To znaczy, że jest zadowolony i że chce nam pomóc? Tak, niewątpliwie, tak to należy rozumieć...

Drgnęła i znów obejrzała pokój.

— Niechże pan pamięta — powiedziała na pożegnanie, że i ja chcę tylko panu pomóc.

Z tego zdania wynioskował, że przyszła poprostu zobaczyć, czy on dobrze się czuje.

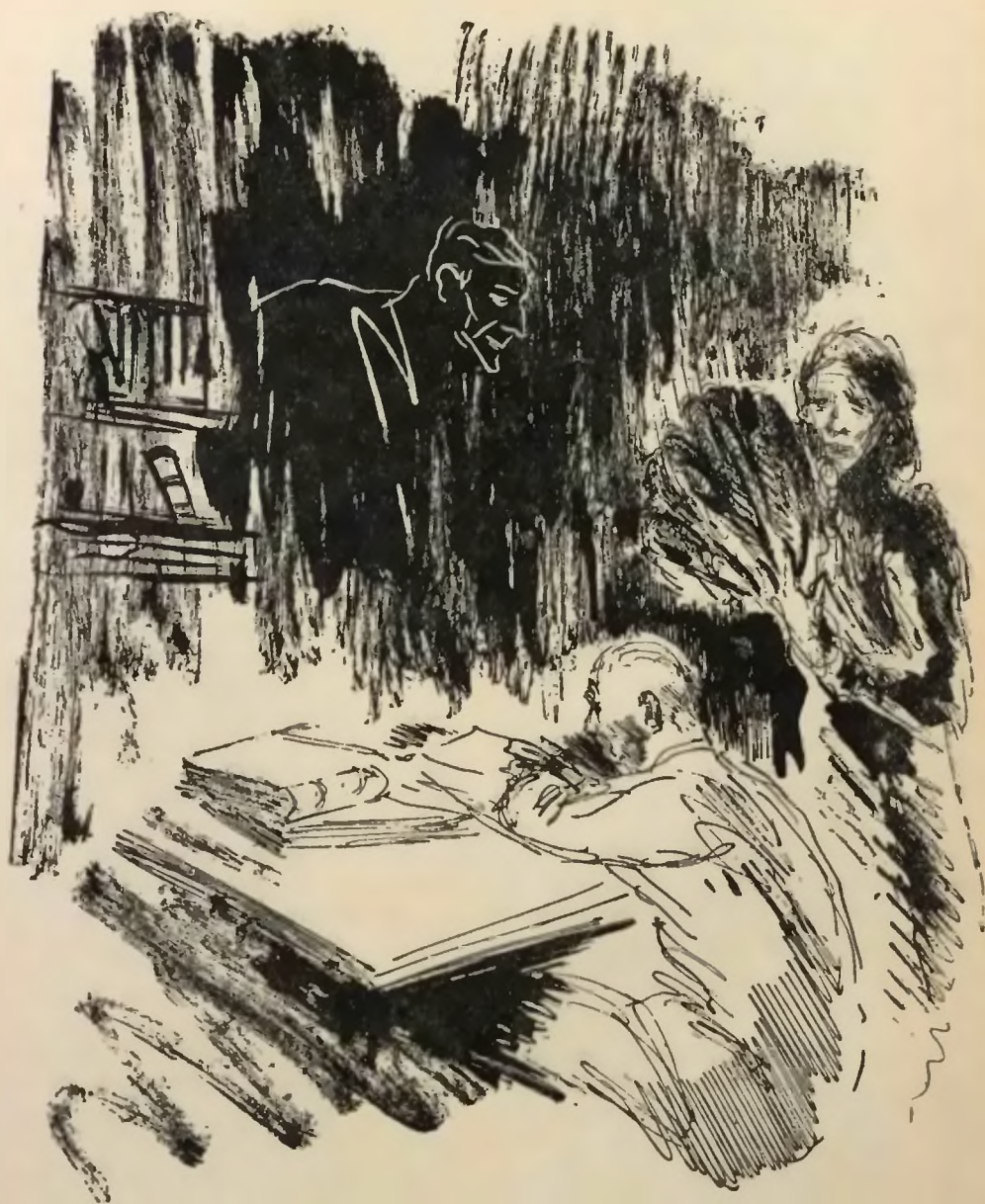
A czuł się coraz lepiej i lepiej, pomyślał sobie po jej wyjściu, bowiem w miarę zagłębiania się w pracy, oswajał się coraz bardziej z myślą — tak mu się wydawało — o obecności Doyne'a. Kiedy myśl ta zaczęła go przesładować, spotkał ją z radością, podniecał ją i zachęcał, pieścił, przeczuwając cały dzień rozkosz nadejścia wieczoru, by znów do niej powrócić i niecierpliwie czekał zmroku, jak kochanek czeka na chwilę spotkania. Najmniejsze przypadki podtrzymywały, i umacniały tę myśl, a po upływie trzech-czterech tygodni przyzwyczaił się widzieć w niej sankcję rozpoczętej pracy. Czy to nie rozstrzygało pytania o tem, jakby się odniósł

Doyne do pomyslanej przez niego koncepcji?

To, co oni robią, chciałby zobaczyć zrealizowane, i można było spokojnie iść dalej, ze stopnia na stopień, bez wyrzutów sumienia, bez wahania.

W innych chwilach Whitermor nie mógł się nie cieszyć swoją pewnością. Nieraz zdarzało mu się odśłaniać tajemnice życia Doyne'a i wtedy sprawiała mu szczególną satysfakcję myśl, że życzył sobie tego sam Doyne. Udało mu się dowiedzieć wielu rzeczy, których przedtem nie podejrzewał, odśłonić niejedną zasłonę, otworzyć niejedne drzwi, rozwiązać niejedną zagadkę i wogóle, wniknąć w kulisy życia mistrza. Innym znów razem idąc za Doynem po najbardziej krętych drogach jego życia, przez niespodziewane zakręty, czuł niespodzianie, że staje bezpośrednio, dotykalnie oko w oko ze swym przyjacielem i w takiej chwili z trudem mógłby powiedzieć, kiedy nastąpiło ich spotkanie — czy spotkali się w zamkniętem kole, w wąskim korytarzu przeszłości, czy w tym czasie i w tem miejscu, gdzie znajdował się teraz. Czy to było w roku 1867 czy przed chwilą, przy tem biurku?

W każdym razie, nawet w najbardziej wulgarnem oświeceniu, jakie mogła nadać mu opinia, najważniejsze było to, jaki wizerunek Doyne'a powstawał. Składał się ten wizerunek jaknajlepiej, lepiej niżby to mógł przypuszczać nawet taki wielbiciel, jak Whitermor. Ale jak mógłby ten wielbiciel odśłonić przed kimś swój osobliwy stan ducha? Nie można było opowiedzieć tego słowami — to można było tylko wyczuć. Bywały naprzykład, chwile, kiedy pochyliwszy się nad papierami, czuł tak wyraźnie oddech swego przyjaciela na włosach, jak swoje własne, leżące na biurku łokcie. Bywały chwile, kiedy, gdyby był w stanie podnieść oczy, zobaczyłby go po drugiej stronie biurka tak wyraźnie, jak stronicę rękopisu, oświetlonego przez lampę. To, że nie mógł podnieść oczu w takiej chwili, zależało tylko od niego i to było naturalne: wiązały go głęboka skromność i wstyd-





liwość, obawa spotkania Doyne'a zbyt brutalnym lub nagłym ruchem. Najsilniej czuło się w samej atmosferze pokoju, że jeżeli Doyne jest tutaj, to dlatego, bo to jest potrzebne młodemu wyznawcy jego kultu. Czaił się i czekał, znikał i zjawiał się wśród książek i papierów niby cichy, skromny bibliotekarz, pomocnik uczonych, który w milczeniu wykonuje swą niezauważalną pracę.

Tymczasem i sam Withermor znikał i zjawiał się, przechodził z miejsca na miejsce, błądził w poszukiwaniach, niekiedy owocnych, niekiedy bezcelowych. I nieraz, kiedy brał książkę z półki i, znajdując tam marginesowe notatki Doyne'a zagłębiał się w nią i zapomniał o wszystkim, zdawało mu się, że za nim cicho szeleszczą przewracane stronicę, a kiedy powracał, jakiś zaginiony list zjawiał się znów na widowni, jakieś niejasne miejsce wyjaśniało się przez to, że stary dziennik był otwarty w sam raz na właściwej stronicy. Jakżeby podszedł właśnie do jednej z pięćdziesięciu skrzyń, do tej właśnie, gdzie się znajdowało szukane, gdyby nie tajemniczy pomocnik, który w przewidywaniu otworzył skrzynkę, i wysunął ją do tego stopnia, by zwrócić uwagę Withermora? Prawda, bywały mroczne pauzy i przerwy świadomości, kiedy wystarczało tylko podnieść oczy, by powstał obraz stojącego przed kominkiem, lekko obcego i zbyt prostego, patrzącego nieco uważniej niż za życia.

### III

O tem, że takie stosunki rzeczywiście istniały i trwały około trzech tygodni, świadczyło dostatecznie jasno narastanie strachu, który zaczął się od tego wieczora, kiedy Withermor zauważył, że ta łączność przerwała się. Pierwszą oznaką tego stanu, było uczucie zdziwienia, które go nagle ogarnęło, kiedy w najgłępszy sposób zginęła pewna piękna, niewydrukowana stronica. Mimo największych poszukiwań stronica zginęła bez śladu — trwoga spowodowała, że poprzednia pewność zmieniła się na

niepokój i rozterkę. Jeżeli od samego początku Doyne był z nim razem — i to pomagało sprawie — to już po paru dniach, gdy Withermora naszły dziwne podejrzenia, sytuacja uległa zasadniczej zmianie. „Oto w czym rzecz“, pomyślał, czując rozterkę przed ogromną masą materiałów, zamiast spokojnej pewności, że wybrał dobry kierunek i że robota posuwa się szybko naprzód. Przez pięć wieczorów walczył z tem uczuciem, potem, już nie zasiadając do stołu, chodził po pokoju, zagłębiał się w dziwacznych myślach i brał swe zeszyty tylko po to, by je znów odłożyć na miejsce, patrzył w okno przewracając węgle na kominku, w oczekiwaniu jakiegoś znaku, przysłuchiwał się szmerom i dźwiękom, nie dlatego, iżby mu się zdawało, że je słyszy, ale dlatego, że wzywał ich i pragnął — i wreszcie poddał się myśli, że został opuszczony, w każdym razie, na pewien czas.

Dziwne — nie tylko go martwiło, ale skrajnie napełniało trwogą to, że przestał odczuwać obecność Doyne'a. Nie wiadomo dlaczego wydawało się o wiele dziwniejsze to, że go tu więcej niema, niż to, że był tutaj. Było to tak dziwne, że pod koniec nerwy Withermora nie wytrzymały. Nerwy jego dostatecznie silnie znosiły zjawiska niezwykle, i wbrew zdrowemu rozsądkowi, natężyły się chorobliwie po powrocie do rzeczywistości, po tem, gdy realność zastępowarła fikcję. Przestał zupełnie panować nad swemi nerwami tego wieczora, kiedy nie mając sił do dalszej walki ze sobą, wyszedł w rezultacie z pokoju. Po raz pierwszy poczuł, że dłużej tam zostawać nie może. Prawie bezwiednie, ledwie chwytając oddech, jak ze strachu, zwykłą drogą przez korytarz wyszedł na platformę schodów. Popatrzył przez poręcz i zobaczył, że pani Doyne patrzy na niego zdołu, jakgdyby wiedziała, że on przyjdzie. A najdziwniejsze było to, że chociaż nie szukał jej świadomie, a poprostu zmuszony był do ucieczki, to niezwłocznie poczuł, że tak właśnie powinno być, że jej zjawienie się jest silnie związane z jakimś ogromnym ciężarem, który spada na nich obo-



je. I w niewytłumaczony sposób w zwykłym londyńskim hallu, wśród dywanów z Tottenham - Courd - road i elektrycznych lamp, udzieliła mu się idąca od wysokiej czarnej postaci świadomość tego, że ona zna jego stan. Zeszedł na dół, ona zaś weszła do swego pokoju na dolnem piętrze i tam, zamknawszy drzwi, wciąż jeszcze milcząc, z pobladłymi twarzami gotowi byli dokończyć spowiedzi, która zaczęła się od owych dwóch-trzech ruchów. Withermor nagle zrozumiał, dlaczego został opuszczony przez swego przyjaciela i zadyszany, wyszeptał:

— On był z panią?

Wszystko stało się jasne, tak jasne, że nie trzeba było wyjaśnień, a kiedy rozległy się słowa — co się stało? — wydało się, że oboje jednocześnie powiedzieli te słowa.

Withermor rozejrzał się po małym, jasnym pokoju, gdzie wieczorami żyła swoim życiem, tak jak on żył swoim życiem w pokoju górnego piętra. Pokój był elegancki, przytulny, różowy, ale pani Doyne słyszała i czuła w nim to wszystko, co słyszała i czuła on. Tu, na mocno różowym tle, jej fantastyczna żałoba z czarnymi piórami, wywoływała wrażenie dekadenceńskiego sztychu w kolorach, lub szkicu nowej szkoły.

— Pani rozumiała, że on mnie opuścił? — zapytał Withermor.

Jasne było, że chciała tę rozmowę doprowadzić do końca.

— Dziś wieczorem? Tak, teraz wszystko rozumiem.

— Pani wiedziała... że dotąd... że jest ze mną?

Powiedziała niepewnie:

— Czułam, że nie jest ze mną. Ale na schodach..

— Tak?

— Przechodził. I nie jeden raz. Był w domu. I kiedy zatrzymywałam się przy pańskich drzwiach...

— Tak? — nalegał, bowiem mówiła niepewnie.

— Domyślałam się czasami. Po twarzy pana, w każdym razie dziś — dodała — rozumiałam stan pana.

— I dlatego wyszła pani z pokoju?

— Wiedziała, że pan przyjdzie.

Wówczas wyciągnął do niej rękę i chwilę stali w milczeniu, zwarłszy dłonie. Teraz nie odczuwali nieczyjej obecności, prócz własnej. Przez chwilę zdawało się im, że są w świątyni, ale Withermor nie mógł powstrzymać swego strachu i przerwał milczenie:

— Co to więc znaczy?

— Chce robić tylko to, co trzeba — odpowiedziała po krótkim namyśle.

— A czy nie robimy tego co trzeba?

— Nie wiem? A pan?

I on też nie wiedział.

— Byłem pewien, że... powinniśmy pomyśleć o tem.

— Powinniśmy pomyśleć — powtórzyła ona.

I zaczęli myśleć, z natężeniem myśleli razem przez cały ów wieczór, myśleli każde z oddzielną (w każdym razie Withermor) w ciągu wielu następnych dni. Przerwał swe wizyty i pracę, starając się pochwycić siebie przy jakimś błędzie, któryby mógł wyjaśnić ich lęk. Czy nie poszedł przypadkiem, lub nie zamierzał pójść, błędną drogą, czy nie wypowiedział fałszywego poglądu, czy może zdeformował coś, lub przesadził? Powrócił wreszcie do pracy, myśląc, że odnalazł kilka kwestyj, które, być może, potraktował nieściśle. Przeżył potem na górze nowy okres wahań, poczem nastąpiło nowe spotkanie nadole z panią Doyne, jak przedtem zdenerwowaną i podnieconą.

— On jest tam?

— Tak.

— Wiedziała o tem — odpowiedziała z ponurym triumfem. I dodała wyjaśniająco: — ze mną go nie było.

— I ze mną był nie poto, aby mi pomóc — powiedział Withermor.

— Nie dlatego aby pomóc?

— Nie mogę zrozumieć o co chodzi! Jestem w błędnym kole. Cokolwiek robię, czuję, że jestem w błędzie.

Przez chwilę Withermor odczuł cały ciężar jej dostojnego smutku.

— W czym to się objawia?

— We wszystkim co się dzieje. Dużo rzeczy dziwnych. Opisać tego nie mogę, ale i takhy pani nie uwierzyła.

— Nie, nie uwierzę! — zawołała pani Doyne.

— On wtrąca się — usiłował wyjaśnić Withermor — do czego się zabiorę, wszędzie znajduję jego.

Słuchała w napięciu.

— „Znajduje” go pan?

— Spotykam go. Tak jakgdyby stawał przede mną.

Spojrzała na niego uważnie, w milczeniu.

— Pan chce powiedzieć, że widzi go?

— Wydaje mi się, że za chwilę go zobaczę. Tracę głowę. Nie wiem jak się zachować.

I dodał:

— Boję się!

— Boi się go pan? — zapytała pani Doyne.

Pomyślał.

— Nie, tego co robię.

— A co strasznego jest w tem, co pan robi?

— To, co pani mi zaproponowała. Wdzieram się do jego życia.

Teraz jej skupiona twarz wyraziła nowy lęk.

— Pan tego nie pochwała?

— Czy on to pochwała? Oto pytanie. Zrywamy z niego zasłony. Oddajemy go... jak to się nazywa... powszechności.

Biedna pani Doyne, czując, że jej ciężkie odkupienie znalazło się w obliczu klęski, zachmurzyła się gniewnie i na chwilę stała się jeszcze mroczniejsza.

— A dlaczego tego nie wolno czynić?

— Dlatego, że my nie wiemy. Są ludzie, są istnienia, które tego nie znoszą. Być może, że on nie chciał — odpowiedział Withermor. — Przecież nie pytał się go.

— Jakże mogliśmy go zapytać?

Milczał przez chwilę.

— Cóż, pytamy go teraz. Wreszcie, od tegośmy zaczęli. Pozostawiliśmy temu decyzję.

— Wobec tego, jeżeli był z nami, otrzymaliśmy odpowiedź.

Withermor zaczął mówić tonem człowieka całkowicie pewnego swej racji.

— On nie był z nami, był przeciw nam.

— Więc dlaczego pan?

— Dlatego, że z początku myślałem, że chce nam dać odczuć swoją życzliwość. Prostu myliłem się od początku. Byłem... nie wiem, jak to określić... tak wzruszony i porwany, że nie rozumiałem. Ale teraz rozumiem. On chce zetknąć się z nami. Wyrwa się z mroku, przychodzi z niepoznawalnego, niejasnemi znakami mówi nam o swym wstręcie.

— Wstręcie? — pani Doyne drgnęła i przycisnęła wachlarz do warg.

— Tak, do tego, co my robimy.

W tej chwili zrozumiał wszystko.

— Teraz rozumiałem, że z początku...

— Tak, więc co?...

— ...czuło się, że on tu jest, to znaczy, że nie jest mu obojętnie. Było to tak dobre, że wprowadziło mnie w błąd. Ale on sprzeciwiał się...

— Mojej „biografji”! — jęknęła pani Doyne.

— Każdej biografji. Jest tutaj poto, by trwać na straży swego życia. Żeby mu nie zakłócano spokoju.

— Więc pan rezygnuje? — krzyknęła prawie.

Mógł tylko odpowiedzieć:

— On ostrzega nas!

Przez długą chwilę patrzyli sobie prosto w oczy.

— Pan się boi — powiedziała pani Doyne.

Dotknęło go to, ale nalegał w dalszym ciągu:

— On... przeklina nas...

Potem rozstali się ale tylko na dwa, trzy dni. Ostatnie słowa pani Doyne tak uparcie dźwięczały w uszach Withermora, że chcąc wypełnić jej wolę, a czując jednocześnie inne przeciwstawne życzenie, wiedział, że nie może powziąć decyzji. Skończyło się tem, że powrócił o zwykłej godzinie i zastał ją na zwykłym miejscu.

— Tak, boję się — powiedział takim tonem, jakgdyby długo się zastanawiał i wreszcie zrozumiał sens tych słów. — Ale pani, zdaje się, niema obaw?

Wahała się nie wypowiadając decydującego słowa.







## TYLKO RAKIETA EGRA

*osiągniesz prawdziwy sukces sportowy  
Obejrzyj, a przekonasz się.  
Wylacina sprzedaż*

**C. GRABOWSKI SZPITALNA 7**

— A co pana napęłnia lękiem?

— Jeżeli nie porzucę pracy to go zobaczę...

— A wtedy?

— O, wtedy będę musiał zrezygnować — powiedział Jerzy Withermor.

Rozważyła jego słowa w skupieniu.

— Myślę, że potrzeba nam wyraźnego wskazania.

— Czy pani chce, bym znów spróbował.

Nie poddawała się.

— Pan rozumie przecież czem jest dla mnie rezygnacja?

— Ale pani niema z czego zrezygnować — odpowiedział Withermor.

Wydawało się, że to ją zdumiało, ale po chwili ciągnęła dalej:

— To znaczyłoby, że nie chce przyjąć ode mnie...

— Czego właściwie?

— Niczego nie chce... — odpowiedziała biedna pani Doyne.

Popatrzył na nią przez chwilę.

— Sam myślałem też, że potrzebna jest wyraźna wskazówka. Spróbuję jeszcze raz.

Kiedy wychodzili z pokoju, przypomniała sobie nagle:

— Obawiam się, że tam dziś nie przygotowano pokoju, ani lampy ani kominka...

— Nie szkodzi — odpowiedział ze schodów. — Ja i tak znajduję czego mi trzeba.

Odpowiedziała, że drzwi od pracowni są zapewne otwarte i poszła do swego pokoju, jakgdyby poto, by czekać jego powrotu. Zresztą niedługo czekała. Pani Doyne otworzyła drzwi i nasłuchiwała uważnie, przyciem napewno inaczej odczuwała mijanie czasu, niż jej

gość. Wkrótce usłyszała jego kroki na schodach, nie pośpieszne i dźwięczne, ale raczej głucho i powolne i Withermor stanął we drzwiach, blady i niespokojny.

— Zrzekam się.

— Więc widział go pan?

— Na progu, na straży.

— Na straży? — oczy jej błysnęły spoza wachlarza. — Na jawie?

— Jak we mgle. Ciemny... strach... — odpowiedział nieszczęśliwy Withermor.

Była oszołomiona.

— Pan nie wszedł?

Withermor odwrócił się:

— On nie pozwala wejść!

— Pan mówił, że nie powinienam... — powiedziała po chwili milczenia...

— Tak właśnie... czy powinno się?...

— Zobaczyć go? — powiedział Withermor.

Odpowiedziała po chwili.

— Zrezygnować!

— Niech pani decyduje.

W bezwładzie opadł na kanapę, zakrywając twarz dłońmi. W następnym czasie nie mógł sobie przypomnieć ile czasu tak przesiedział. Kiedy odzyskał przytomność zrozumiał, że jest sam wśród jej ulubionych rzeczy i, że drzwi do hallu są otwarte naoscież. Nie zdążył jeszcze powrócić całkowicie do siebie i wstać, kiedy zjawiła się przed nim znów wśród światła i ciepła różowego pokoju, jej wysoka, czarna, elegancka postać. Poznał po nirocznych oczach, skierowanych na niego spoza wachlarza, zasłaniającego twarz, jak maska, że była na górze i oto po raz ostatni stanęło przed nimi nicrozstrzygnięte pytanie:

— Widziała go pani? — zapytał Withermor.

Znacznie później, wspominając ruch, jakim zakryła oczy i długo milczała nie otwierając ich, jakgdyby poto, by odzyskać panowanie nad sobą, zrozumiał, że to, co on widział, nie da się porównać z tem, co widziała żona Ashtona Doyne'a.

I zanim jeszcze wypowiedziała: „Ja rezygnuję“, już wiedział, że wszystko skończone...

H. JAMES



# Żagiel

Jeżeli nam, kochani państwo, ktoś chce zrobić kawał, to nigdy nie przyjdzie z określoną, jasno sformułowaną propozycją.

Taki facet, czasami nawet dobry znajomy, w którego plugawej wyobraźni rodzą się zjadliwe pomysły, przychodzi zawsze z doskonale zamaskowanym planem. Konspiracja jest tak dobra, że w żaden sposób zmiejsza nie można odcyfrować prawdy.

Przyszedł do mnie pewnego razu taki życzliwie uśmiechnięty jegomość w szarych spodniach i białej koszuli i wesołym głosem powiada:

— Piękny mamy dzień dzisiaj...

— Widzę to bez ciebie.

— A jak dziś pięknie na rzece...

— Zależnie od tego co się na niej robi. Jeżeli, na przykład, ktoś tonie, to nie nazwie dzisiejszego dnia wyjątkowo udanym.

— Mam pewien projekt!

— Ponieważ cię znam, więc zgóry wątpię czy skorzystam z niego.

— Słuchaj! — powiedział przymilnie — przejedziemy się żagłówką... Lubisz żagiel?

— W pociągu. T. zn. żebym ja siedział w oddzielnym przedziale drugiej klasy, a żagiel żeby leżał w wagonie towarowym.

— Mam doskonałą łódź. Wspaniały żagiel. Białe w błękitne prążki.

— Uszyj sobie z niego płaszcz jesienny albo futerał na fortepian.

— Odbędziemy wspaniały spacer... słońce, woda... cichy wietrzyk...

Zapewneście, państwo zauważyli jak trudno jest nakłonić większość z nas do popelnienia jakiegoś rozsądnego uczynku, np., uprzątnięcia starych gazet ze stołu, leżących od dwóch miesięcy i przeszkadzających w pracy, ale namówić na coś idjotycznego, nie odpowiadającego ani stanowisku społecz-





nemu, ani skłonnościom, ani wiekowi, czy światopoglądowi jest ogromnie łatwo.

Krócej mówiąc: pojechałem.

Jedyny odruch zdrowego rozsądku wyraził się w postaci ostrożnego zdania:

— A umiesz posługiwać się żaglem?

— Ja?

W oczach mego przyjaciela błysnął ironicznie uspakajający błysk kapita-  
na, starego wilka morskiego, którego  
naiwne dziecko pyta: czy pan kapitan  
wie, co to jest kotwica?

Pierwsza część wycieczki podobna  
była do pośpiesznego wykładu bez opo-  
nentów, ale za to z pogładowym mate-  
riałem ilustracyjnym. Tematem był ża-  
giel, uszyty z czegoś, co przypominało  
prześcieradło, rzeczywiście w błękitne  
paski, audytorjum byłem ja.

— W stanie luźnym — zachłystując  
się mówił mój rozmówca — jest żagiel  
zgoła nieciekawem zjawiskiem.

— Powiedziałbym, że w pewnym  
sensie nawet negatywnem — doda-

łem. — Rzecz jest w tem, że już od  
półgodziny wiosłuję przeciw prądowi,  
mam na rękach niewielką, ale staran-  
nie dobraną kolekcję odcisków, a two-  
je przekłete prześcieradło tłucze mnie  
po twarzy... Za pięć minut przestanę  
wiosłować, sam się tem zajmij...

— A kto będzie kierował żaglem? —  
zapytał zdziwiony.

— Jeżeli kierowanie polega na tem,  
żeby cały czas siedzieć naprzeciw tej  
szmaty, palić i mówić, to z powodze-  
niem mogę ciebie zastąpić...

— Poczekaj — oświadczył zachęca-  
jącym tonem — będzie wiatr, zoba-  
czysz...

Okazało się, że w tej materji miał  
niedość wiadomości. Przyroda  
przed wypuszczeniem wiatru, zorgani-  
zowała w porządku chronologicznym  
najpierw: mały deszcz, potem bardziej  
solidny deszczyk, a następnie deszcz  
odpowiadający nawet wymaganiom bar-  
dziej kapryśnych ludzi niż ja.

Nasz żagiel wisiał, jak mokre portki  
marynarza na reji, dając znaki życia



tylko wtedy, kiedy zapragnął złośliwie zrzucić mi kapelusz z głowy albo oblać zapasem wody deszczowej.

— Przydałoby się założyć drugi żagiel — w zamyśleniu skonstatował mój towarzysz podróży.

— Wolałbym widzieć ciebie, wiszącego na tym maszcie — powiedziałem ponuro. — Ten widok bardziej by odpowiadał mojemu nastrojowi.

— Poczekaj, będzie wiatr!

Kiedy niebo pokryte jest chmurami nietrudno przepowiedzieć tak prymitywne zjawisko przyrody jak wiatr. Rzeczywiście, po upływie siedemnastu minut, według mojego, nieco podmożonego zegarka, nasze prześcieradło wydęło się tak nieoczekiwanie, że mój przyjaciel znalazł się w sytuacji leżącej pod ławką, a łódka, opisawszy śliczne półkole, w zawziętym tempie pośpieszyła w stronę brzegu. Patrzyłem smutno na wiosło, które wyslizgnęło się z moich rąk i płynęło zwinnie na fali jak młoda rybka.

— Chwytaj wiosło — zawołał histerycznie.

— Daj spokój. Nie nauczono mnie w dzieciństwie sztuki chodzenia po wodzie. Spróbuj wezwać je do powrotu obietnicą napiwka...

— Trzymaj sznur od żagla!... Czy ty naprawdę nic nie widzisz?

— Widzę tylko tyle, że łódź całko-

wicie rozstała się z naszym towarzystwem...

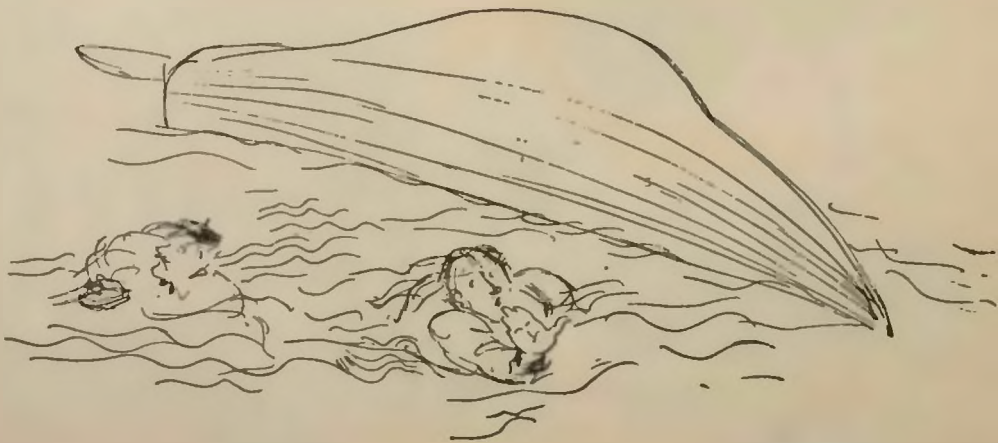
Rzeczywiście, zaledwie przekłęty żagiel napił się powietrza, a nawet części naszej łodzi zaczęły żyć zupełnie samoistnym życiem. Przód zarył się w wodę, jakgdyby chciał uważnie przestudjować dno rzeki, żagiel poszedł na lewo, żądając uporczywie, byśmy się wyrócili, pozostałe wiosło wyróciło środkową ławkę, a sama łódka nawiennie i bezmyślnie zakreśliła się jak korkociąg na tem samym miejscu, pośrodku rzeki.

Co zaś się tyczy inwentarza żywego, to zachowywał się on odpowiednio do charakteru, skłonności i wychowania: ja siedziałem po kolana w wodzie i rozbierałem się powoli, woląc pływać w bardziej wygodnym stroju; a mój przyjaciel ze sznurami w rękach, tulił żagiel, usiłując, rzecz prosta, opanować ten skomplikowany i złośliwy przyrząd.

— Zaraz się przewrócimy — syknął przez sznury — cholerny żagiel...

— Jest to twoje pierwsze rozsądne słowo przez cały czas podróży — skonstatowałem ponuro — czy nie można jednak przewrócić się koło brzegu. Tam jest jakoś wygodniej.

— A co ja zrobię — chrząkał bezradnie — kiedy go nie ciągnę, to on tak samo napiera w dół...



— Spróbuj się z nim dogadać na zasadzie wzajemności... Powiedz, że go znów uczynisz prześcieradłem, niech tylko teraz nam pozwoli wydostać się z tarapatów.

Niestety, żagiel jak się okazało, był najbardziej beczelnym i ordynarnym prześcieradłem. Wzdławszy się niespodzianie z drugiej strony, żagiel odwrócił łódź przeciw prądowi i nowa chmura, która nadbiegła w międzyczasie mogła się przekonać zgóry, że dno naszej łodzi było niedawno malowane. Płynęliśmy obok niej. Nie wiem, jak się odniosła łódź do tego sąsiedztwa, ale mnie się ono zdecydowanie nie podobało.

\*

Na brzegu rola referenta przypadła mnie. Audytorjum w mokrych kalesonach i z niewymownym smutkiem w oczach oponowało słabo i mętnie, tęskniąc za papierosem.

— Niema sensu rozrzucać na nieznanomych rzekach marynarki i spodnie — powiedziałem smutno. — Płyną teraz zapewne z prądem, zapomniawszy imion swych niedawnych właścicieli...

— A ja miałem w spodniach portmonetkę...

— Gdyby tam była nie portmonetka ale żywy pies, toby w niczem nie zmieniło sytuacji... Teraz będziemy

musieli na nagusa powracać do domu. Nie jestem do tego przyzwyczajony. W moim wieku to jakoś głupio wygląda...

— Więc co ja mogę zrobić? — zapytał zmartwiony.

— Co chcesz, niech cię djabli wezmą... Możesz mnie wziąć na ręce i zanieść do mieszkania, zapewniając, że jestem dzieckiem nienormalnie wyrosłym, wskutek kłótni w rodzinie... Idź po dorózkę...

— Dorożek na rzece niema.

— Masz rację. A szczególnie takich z prześcieradłami zamiast żagla, z którymi nadomiar złego nie umieją sobie radzić.

Krócej mówiąc: późnym wieczorem zawiózł nas do domu litościwy samochód ciężarowy. Jechaliśmy na drzewie i bez szczególnych wygód.

Z moim przyjacielem spotykam się z przerwami, niemniej niż raz na półrocze. Wiem tylko tyle, że nietylko nie jeździ na żaglówce, ale kiedy przy nim ktoś ściele łóżko i mój przyjaciel widzi prześcieradło, robi mu się słabo i lekki rumieniec krasi jego smagłe, niegolone policzki.

Co do mnie zaś, to na propozycję spaceru na żaglówce, odpowiadam wesołym i uprzejmym ukłonem, a następnie szybkim krokiem opuszczam pokój...

A. BUCHOW



# Anegdoty

*Dlaczego „Tygrys nie został prezydentem Francji“?*

Gdy wysunięto kandydaturę Clemenceau na prezydenta republiki, Briand, który niecierpiał „Tygrysa“, oświadczył, że będzie namiętnie zwalczał tą kandydaturę.

Pewny wyboru Clemenceau, dowiedziawszy się o tem, oświadczył:

— Mimo to zostanę prezydentem a Briand przez siedem lat będzie szlifował bruk przed pałacem Elizejskim. W ciągu całej mej kadencji ani razu nie będzie ministrem.

— Zakomunikujcie p. Clemenceau — odpowiedział na to Briand — że znalazłem o wiele prostsze wyjście z sytuacji: oto p. Clemenceau nie zostanie wybranym prezydentem.

Briand dotrzymał obietnicy. Dzięki jego usilnym zabiegom większość Zgromadzenia Narodowego wypowiedziała się przeciwko kandydaturze Clemenceau.

*„Wielka trójka“ polityków francuskich*

Pewien dziennikarz odwiedził Brianda w jego wiejskiej siedzibie i zapytał, czem się zajmuje w tym czasie.

— Wypoczywam w całej pełni — odrzekł Briand. — Bawię się także nieco lekturą. Czytam właśnie ostatni tom pamiętników Poincaré'go.

— Co sądzi pan o tej książce? — zapytał dziennikarz.

— Jest ogromnie zabawna. Odmładza mnie o 16 lat.

— A czy nie nabiera pan przytem ochoty do opisania także własnych wspomnień?

— Uchowaj Boże! — zaprzeczył Briand. — Za nic na świecie nie pisałbym pamiętników. Clemenceau i Poincaré dość już się wypisali. Gdybym i ja

zabrał się do ogłaszania pamiętników, powstałoby coś w rodzaju Świętej Trójcy. A ponieważ Clemenceau już zgóry zapowiedział, że ja uważałbym się za Chrystusa, to nie byłoby wiadome, który z nich dwóch jest... Duchem Świętym.

*„Nosił wilk razy kilka...“*

Utrąciwszy kandydaturę Clemenceau na prezydenta republiki, Briand skolei i sam obalony został, gdy sięgał po to stanowisko. Wówczas to jego wierny szef gabinetu, Filip Berthelot, powiedział:

— Gdyby głosy rzucano na wagę, zostałby pan wybrany. Niestety, głosy są tylko... liczone.

Niestety, sam Briand w swej wieloletniej karierze parlamentarnej zbyt często raczej liczył głosy swych zwolenników, niż je ważył. I to przeszkodziło mu uwieńczyć swą karierę osiągnięciem najwyższego w państwie stanowiska.

*„Grecki“ kawał Brianda*

W czasie konferencji wersalskiej przedstawiciel Grecji domagał się dla swego kraju kolonij i żądanie swe poparł wieloma dokumentami, wśród których znalazła się również mapa, na której w postaci czarnych kółek oznaczone zostały

pl. trzech  
krzyży 18  
wzrost — TO —  
kowsi jakoś  
marszałkowska 92



# KAWA ARABIA



MARSZAŁKOWSKA 105  
NOWY ŚWIAT 15

miejsowości, w których rzekomo miały istnieć większe skupienia Greków.

— Te kółka — to naturalne kolonje greckie. Ich ilość najlepiej uzasadnia nasze prawa do tych obszarów — patetycznie oświadczył przedstawiciel Grecji.

— O, takie kolonje stworzyć bardzo łatwo! — przerwał te wywody Briand. — Zaraz to panom zademonstruję. — Przy tych słowach umoczył pióro w atramencie i skropił nim mapę, ozdabiając ją — ku ogólnej wesołości — mnóstwem czarnych kółek... z atramentu.

## Doniosła drzemka

Kiedyś Briand, jako minister, przyjmował delegację z kolonji. Prowadzący delegację poseł, zaczął wyklądać sprawę gruntownie i nudnie. Briand przytknął głowę do oparcia fotelu i zaczął drzeć. Gdy spostrzegł to obecny przy tem szef gabinetu Brianda Berthelot, nachylił się do Brianda i głośno a wymownie chrząknął. Briand natychmiast ocknął się z drzemki i, ratując sytuację, z poważną miną szepnął do Berthelota tak głośno jednak, by go usłyszano:

— Ja nie śpię, ja... skupiam się nad tą doniosłą sprawą.

## Trzeba znać psychologję wyborców

Pewnego razu, przejeżdżając przez Normandję, Briand zobaczył nad uroczą rzeczką małą chatkę z ogródkiem i kawałkiem pola. Ponieważ namiętnie lubił rybołówstwo, upatrzył sobie tę niewielką sadybę na wiejskie wywczasy i kupił ją, a następnie jeszcze sąsiedni folwark z pałacykiem. Miejscowi wieśniacy przyjęli nowego sąsiada niezbyt chętnie.

— Co nas obchodzi taki pan z miasta i do tego jeszcze polityk — mówili. — Nie chcemy go znać.

I rzeczywiście, stronili od Brianda i nawet zaczęli mu przy łada sposobności dokuczać. Briand — stary wyga, postanowił zdobyć jednak ich sympatję. Pewnego razu wybrał się na targ do pobliskiego miasteczka i zobaczywszy ładną krowę, kupił ją bez targowania się o cenę.

— Czemu pan minister nie targował się? — zapytała wieśniaczka, od której Briand swą krowę przed chwilą kupił.

— A pocóż miałem się targować? — pyta Briand.

— Taki jest tutaj zwyczaj. Zresztą opuściłabym trochę z ceny!

— Ja i tak zrobiłem dobry interes. Ta krowa niedługo będzie miała dwoje cieląt.

— Co też pan mówi? Aż dwoje cieląt! Niemożliwe!

— No to przyjdźcie do mnie po pewnym czasie, a przekonacie się.

Istotnie, gdy dawna właścicielka krowy przyszła po pewnym czasie, ku swemu najwyższemu zdumieniu ujrzała rzeczywiście przy krowie dwoje cieląt.

Wieść o tem zdarzeniu szybko rozniosła się po okolicy i odtąd wieśniacy nabraли szacunku dla Brianda, uważając go nawet za wielkiego naprawdę człowieka, skoro aż tak zna się na krowach. Oczywiście, nigdy nie dowiedzieli się, że te dwa cielątka kupione były przez służącego Brianda na targu w innem miasteczku.



LODA NIEMIRZANKA  
bohaterka filmu „Ada – to nie wypada” na letnich wywczasach

Fot. STEPHOT



# *Z cyklu listów, które się pali i które się zachowuje*

## *List Jerzego do Pawła*

Kochany Pawle!

Zazwyczaj ludzie zawikłani w kolizje prawne szukają rady u adwokata, chorzy poszukują lekarza, coś więc naturalniejszego, że znalazłszy się w przedziwnym konflikcie uczuciowym, zwracają się do Ciebie o radę, drogi przyjacielu, który większą część życia spędzasz nad studjowaniem tego najdziwniejszego tworu na świecie, jakim jest... dusza ludzka!

Chcę Ci przedstawić dziś ciekawe zagadnienie, które wydaje mi się — może na skutek ignorancji lub nawet próżności — unikatem w tej dziedzinie, chociaż może wypadki podobne zdarzają się i częściej na tym biednym globie ziemskim... Nie wiem, nic nie wiem... Mam wrażenie jednakże, że samo zwińczenie Ci mego stanu sprawi mi pewną ulgę. Lecz co najważniejsze, szukam Twojej pomocy w znalezieniu wyjścia z sytuacji, które okazałoby się najmniej bolesnem dla osób zainteresowanych. Pytanie tylko, czy to wogóle będzie możliwe!

Ale posłuchaj od początku: jesteś zanadto dobrym psychologiem, a zarazem żyjemy zbyt blisko, byś nie spostrzegł, że w małżeństwie mojem od jakiegoś czasu stworzyła się pewna luka. Napozór wszystko jest w najlepszym porządku, a jednak dla przenikliwego obserwatora nie trudno było zapewne odgadnąć, że od około dwóch lat jestem bardzo poważnie zainteresowany panią Heleną B. (którą zresztą znasz bardzo dobrze) i że żona moja, pomimo mych najusilniejszych starań, by ukryć faktyczny stan rzeczy, jest na tropie.

Dziś jednak sytuacja się zaostrzyła w sposób fatalny. Janeczka już nietyl-

ko się domyśla, lecz wie, mając w rękę dowód „czarno na białem“: jak zwykle idjotyczna historia z listem zagubionym — parę linii skreślonych znaniem pismem, po przeczytaniu których żadne, nawet najgenialniejsze kłamstwo nie jest w stanie nie uratować!

To smutne odkrycie dokonane zostało przed piętnastu dniami. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jakie piekło mam od tej chwili, nie licząc już nawet przykrych i bolesnych scen, których nie szczędzą mi obie, gdyż każda z nich znajduje dostateczny powód, by mnie pognać.

Helena nie ma co prawda powodu umniejszać swego sentymentu dla mnie, gdyż ostatecznie dla niej i przez nią mam teraz te arabskie awantury; lecz ona znajduje, że teraz, kiedy jej zdaniem „sytuacja się wyjaśniła“, nie powinienem zwlekać z ostatecznem załatwieniem sprawy; że nie powinienem już leczyć się z Janeczką, wobec której jestem przecież winny, a której przez cały ciąg naszego pożycia nie miałem nic do zarzucenia, była bowiem najlepszą i najwierniejszą żoną. Jej zdaniem powinienem skorzystać z okazji i zostać już na zawsze przy niej.

Oto rozumowanie i dezyderaty Heleny, z którą od lat dwóch łączą mnie gorące węzły uczucia.

Janeczka znowu, po której stronie są wszystkie racje, zamiast mnie rzucić i znienawidzić — przebacza mi wspaniałomyślnie, gdyż uczucie jej dla mnie, pomimo wszystko, nie uległo zmianie; tylko ona nie rozumie, dlaczego wobec tak wielkodusznego aktu z jej strony, nie wyrzucam od razu z serca i z pamięci rywalki, która wkradła się w nasze życie.

A ja — słuchaj teraz dobrze, stary przyjacielu — jestem bezradny tak wo-



Ginger Rogers w „Błękitnej Paradzie” RKO Radjo



bec jednej, jak i wobec drugiej. Nie, żebym był niedołęgą, niezdolnym do czynów stanowczych, lecz dlatego, że... Kocham obie równie silnem uczuciem, a tego przecież im powiedzieć nie mogę. Stoję więc na rozdrożu, gdyż każda z nich postawiła mnie w sytuacji wyboru. A jakże ja mogę się zdecydować, gdy one obie są mi tak drogie, iż nie wyobrażam sobie życia bez nich!

Oto węzeł gordyjski — rozplątaj go, mój filozofie, jeśli potrafisz!

Wszystkie studia psychologiczne, debaty — dowodzą niezbicie, że serce ludzkie może być wypełnione tylko jednym uczuciem: przymierzając do spraw sentymentu prawa fizyki — niemożliwość istnienia równoczesnego dwu ciał w jednym miejscu. Ale ja sprawdziłem, że jest wprost przeciwnie, że serce, a rozumem przez to całą gamę możliwości naszego odczuwania, nie jest jednokomórkowe, lecz posiada tych komórek wiele.

Od dziesięciu lat jestem mężem Janeczki i kocham ją, nie dlatego, że jest matką moich dzieci, — głupi frazes, który się często przytacza, a który nie ma głębszego znaczenia, — lecz kocham ją silnem, tkiwem i bardzo gorącym uczuciem.

W jej towarzystwie jest mi dobrze, powiem ci nawet szczerze, że nie wyobrażam sobie zupełnie życia bez niej. Jej wdzięk kobiecy, jej uśmiech, tonacja głosu, spojrzenia — działają na mnie niezmiernie. Nasze pożycie małżeńskie — w dosłownem słowa tego znaczeniu — ma dla mnie zawsze niewysłowiony urok. Zresztą co tu wiele mówić — kocham moją żonę zawsze w tym samym stopniu co dawniej i nie potrafiłbym się jej wyrzec!

A równocześnie kocham Helenę i pragnę jej od lat dwóch z jednakową siłą. Od pierwszego wejrzenia, od pierwszego spotkania wiedzieliśmy, że pomimo wszystko należyć będziemy do siebie. Jakaś siła fatalna, czy instynkt ślepy pchnął nas sobie w ramiona w sposób tak spontaniczny, że nie było czasu ani na rozumowanie, ani na analizowanie — fakt przeszedł bez dyskusji. A co dziw-

niejsze, że przez cały okres tych dwu lat, t. j. od chwili, gdy życie moje uczuciowe obrало szlak dwukierunkowy, nie odczuwałem żadnych wyrzutów, gdyż zdawało mi się to zupełnie naturalnem, że tak jak są istoty ludzkie obdarzone podwójnym wzrokiem, tak ja posiadałem zdolność odczuwania podwójnych, lubo rozbieżnych emocyj uczuciowych, o równej intensywności.

Zauważ jednak, proszę, że nie różniczkuję tu zupełnie, nie argumentuję, iż jedna z tych kobiet działa mi na zmysły, gdy druga gra na strunach serca: że każda ma dla mnie urok odrębny; że ciało i dusza posiadają tu różne pola działania.

A więc nie i postokroć nie! Ja nie analizuję, nie rozróżniam, gdyż one obie promieniają na mnie pod identycznymi kątami: serce, zmysły, umysł, wszystkie te czynniki, składające się na moje „ja“ wewnętrzne, są równomiernie zainteresowane i oczarowane.

I co Ty na to, mój Stary? Zdaje się, że się gubisz w tym labiryncie mego dziwnego ustroju!

A jednak myślałem nad tem wiele: czyż rzeczywiście jestem jakimś monstrualnym wyjątkiem, czy tylko mężczyzną, jak wielu innych, mającym jedynie cywilną odwagę przyznania się, iż odczuwam i postępuję według odwiecznych praw mężczyzny, praw, które są tak różne od idej, narzuconych nam przez cywilizację, literaturę, życie społeczne, bo ja wiem wreszcie co jeszcze!

Rzeczywistość przecież odbiega od komunalów, a gdy się ma odwagę spojrzeć w głąb samego siebie, znajduje się tam tyle, tyle rzeczy niezgodnych z przyjętym ustrojem społecznym. I dlategoż ma być anormalna możliwość odczuwania dwu sentymentów o równem napięciu. Mojem zdaniem, wszystkie fasady małżeńskie, socjalne, moralne kryją za sobą w większości wypadków inne istotne prawdy, niż te, które oficjalnie reprezentują.

W liście moim, predestynowanym na spalenie, a skierowanym do tak dyskretnego przyjaciela, jakim Ty jesteś, mogę



Dorothy Lee

SZKLANKA WODY

Fot. R. K. O. RAD



odstąpić najgłębsze me tajniki, czyżbym jednak był w stanie w innej płaszczyźnie być równie szczerym? Nie do pomyślenia!

Tylko widzisz, po tych wszystkich dysertacjach oderwanych, trzeba jednak znaleźć jakieś możliwe wyjście dla mnie. One kazały mi wybierać między sobą. Jeśli nie nie powiem — stracę obie, a o tem nawet myśleć nie chcę; jeśli wybiorę jedną — stracę drugą. Co robić?

Jakież to byłoby proste, gdyby one chciały zrozumieć moją teorię „dwutorową“, ale o tem niema co i marzyć — kobiety nie uznają jej nigdy... chyba dla siebie...

Ściskam Twoją dłoń i czekam odpowiedzi. Twój Jerzy.

### *List Jerzego do Janiny*

Droga Jancezko!

Checiałaś, oddalając się ode mnie na dni parę, zostawić mnie sam na sam z sobą, bym mógł w spokoju rozpałtrzyć i osądzić fakt, który Cię zranił boleśnie i zrozumieć Twe — heroiczne prawie — przebaczenie.

Nie powinienem był może, w poczuciu własnej winy i Twej wspaniałości, czekać nawet pięciu dni i pragnę, byś opóźnienia tego nie brała jako cień nawet jakiegokolwiek wahania. Ja tylko w samotności, zdała od Ciebie, chciałem się upewnić, czy to, co usłyszysz za chwilę, dyktowaniem będzie jedynie wzruszeniem i wdzięcznością, czy też będzie odpowiadało rzeczywistości stanowi mego serca.

Otóż teraz, pisząc te słowa, jestem w absolutnej pewności, iż nie kłamię ani Tobie, ani sobie, mówiąc, że kocham tylko Ciebie niepodzielnie i jedynie i że Ci powracam cały i na zawsze!

Droga! jesteś zbyt mądra, a przytem posiadasz tyle subtelności uczucia, by zrozumieć kompleks mężczyzny, który nie umie oprzeć się pokusie — nie mającej dla niego w gruncie rzeczy nawet żadnej wartości. Popelnilem grzech wo-

bec Ciebie przez lekkomyślność, próżność może, nie przykładając do niego najmniejszej wagi, a co najważniejsza, nie zdając sobie sprawy, że może on okrutnie zranić istotę, która jest dla mnie wszystkim.

Jedyna! Z tej przelotnej mej fantazji, nazwanej szumnie „zdradą“ przez Ciebie, nie zostało ani szczątków popiołu. I gdyby próba ta nie sprawiła Ci tyle bólu, błogosławiłbym ją, gdyż wykazała mi ona w całej pełni, jak silnym i niezniszczalnym jest węzeł, który mnie z Tobą łączy i łączyć będzie do końca życia.

Powracaj, Ukochana, powracaj! Zły sen pierzechnął, a przed nami nowe, szczęśliwe życie!

Chciałbym przedstawić Ci projekt usunięcia się na czas jakiś w ciszą wsi, by móc tam zdała od ludzi i zgiełku świata żyć tylko dla siebie i tam zapomnieć, że jakiś cień wkraść się kiedyś między nas!

Jedyna! Zgodzisz się, prawda?

Całuję długo, gorąco Twe usta najdroższe. Twój na zawsze Jerzy.

### *List Jerzego do Heleny*

Droga!

Jak mogłaś nawet, pozostawiając mi prawo wyboru, sądzić choć na chwilę, że mogę się zawahać!

Coprawda zwlekałem dni parę z odpowiedzią, ale był to czas konieczny dla uregulowania wszystkich spraw z moją żoną, odnośnie nowych form mego z nią życia; a mianowicie: wyraziłem jej moją wolę, iż ze względu na opinię, stanowisko, a szczególnie dzieci — spowodu dzieci nie mogłem absolutnie inaczej postąpić — będziemy pozornie kontynuowali nasze życie wspólne, lecz że będę tylko „mężem nominalnym“: pożycia istotnego między nami odtąd już nie będzie. Separacja nasza jest kompletną, z wyłączeniem „stołu“.

Po pewnym namyśle zgodziła się Janka na taki stan, gdyż w gruncie rzeczy kocha mnie bardzo.







## NIEZAWODNY 'SRODEK

*do pielęgnowcinia cery*

usuwający plamy, wągry itp., a zarazem udelikatniający i odświeżający cerę—to płyn wschodni

# MIMOSA

PERFECTION

W ten sposób sytuacja poprzednia, która była nie do zniesienia, — została z gruntu zmieniona; osiągnęliśmy to, czego istotnie pragnęłaś, i to bez skandalu i rozwodu, które mogłyby w skutkach być dla nas wszystkich bardzo przykre.

Ach! gdybym ja nie miał dzieci — to co innego! Lecz one są i ten stan rzeczy zaciążył na mojej decyzji.

Ale Ukochana, czyż nie najważniejsze, byśmy należeli do siebie wyłącznie, tak jak to będzie teraz i w przyszłości, gdyż bez względu na stan cywilny jesteś i pozostaniesz „Jedyną” w moim życiu!

Jutro trzymać Cię będę już w moich spragnionych ramionach w naszym ukrytem gniazdku. To będzie nasze

prawdziwe święto wolności i swobody — obalenie Bastylji! I słuchaj jeszcze, droga, opowiem Ci o pewnym projekcie: za parę dni odwiozę Jankę, pod pozorem troskliwości o jej zdrowie, na wieś, a mając rozliczne interesy w stolicy, będę miał doskonały pretekst przyjeżdżania tu często — do Ciebie.

Żebyś Ty mogła zrozumieć, jak jestem szczęśliwy, że należę nareszcie tylko do Ciebie. Teraz dopiero zrozumiałem, jak małe znaczenie ma siła węzłów małżeńskich wobec uczucia silnego jak płomień, który wszystko ogarnia i pali, wobec którego wszystko inne — to literatura bezduszna, gdyż ono jedno ma tylko wagę w życiu.

Całuję długo, gorąco Twe usta najdroższe. Twój na zawsze Jerzy.

MICHAŁ PROVINCE

CZYTAJCIE

PRENUMERUJCIE

NAJSTARSZE W POLSCE

PISMO ILLUSTROWANE

# TYGODNIK ILLUSTROWANY

# KONIEC MUZYKI

Kiedy wszedł do gabinetu kierownika, zastał tam rodziców, czekających na niego. Matka pocałowała go wargami mokremi od łez i znów zaczęła płakać, kiedy ją objął i poklepał po ramieniu.

— Claude, synku — żaliła się. — Prosiłam Boga, by pozwolił mi dożyć tego dnia i Pan wysłuchał prośb moich.

Claude odwrócił się do ojca, by uściśnąć jego gruzłową rękę. Starzec nie znalazł jeszcze miejsca, gdzieby mógł splunąć i uściśnąć rękę z zastygłym na twarzy, uroczystym wyrazem, bowiem usta miał pełne tytoniu do żucia.

— Gdzie jest Jim? — zapytał Claude.

Ojciec odnalazł spluwaczkę i pochylił się nad nią, by uwolnić się od śliny, przyskajęcej na wszystkie strony.

— Jim czeka tam, w samochodzie — powiedziała matka, wycierając oczy.

— Nie mogłem go zmusić do odstąpienia od kierownicy — powiedział staruszek. Przesunął wierzchem dłoni po podbródku, wycierając bursztynową rosę.

— Ellis nie mogła przyjechać — zaczęła znów matka. — Myślała, że w jej sytuacji nie należy jechać — Matka opuściła oczy. — Pisałam ci chyba o tem, że Ellis się spodziewa.

Kierownik wszedł pośpiesznie i wziąwszy Claude'a za rękę, poklepał go po ramieniu.

— Cóż panie i pani Parson — powiedział wesołym głosem — wiercie mi, że brak nam tu będzie Claude'a.

— Dziękuję bardzo, panie kierowniku Gintz — powiedziała mistress Parson tak łagodnie, jakgdyby to ona żegnała się z tem miejscem.

— Proszę mi wierzyć, zdobył tu sobie doskonałe świadectwa — ciągnął dalej kierownik — i jesteśmy z niego bardzo dumni, proszę mi wierzyć. Radjoprogram, który tutaj ułożył, zwrócił wielką uwagę na tę pracę, którą my tu

przeprowadzamy z chłopcami. Myślę, wiecie państwo o tem, że Claude był w zeszłym roku zastępcą dyrygenta i wydaje mi się, że gra na waltorni niegorzej od profesora Wetsteina, kapelmistrza. Muszę państwu powiedzieć, panie i pani Parson, że syn wasz stał się znakomitą figurą w naszym domu poprawczym. Tak, sire. Claude ma najszerszy talent muzyczny, proszę mi wierzyć, że jego uwolnienie jest dla nas wielką stratą.

Claude myślał o tem, czy długo jeszcze kierownik będzie gadał i chciał, żeby już puścił jego rękę. Ręka kierownika była mokra i przykleiła się do ręki Claude'a.

Pan Parson z niedowierzaniem słuchał nieumiarkowanej pochwały swego marnotrawnego syna i powiedział nerwowo:

— Doskonale, panie kierowniku, doskonale. Myślę, że nam czas w drogę. Wie pan, przyjechaliśmy samochodem i mamy 152 kilometry do zrobienia, przed zapadnięciem nocy.

Panią Parson ucieszyły słowa kierownika domu poprawczego. Śpiesznie kiwnęła głową.

— Tak, tak panie kierowniku, Claude jest w duszy poczciwym chłopcem. A my bardzo wysoko cenimy to, co pan dla niego zrobił.

Po tym komplemente kierownik mówił jeszcze parę minut, mieszając porady z pochwałami. Claude ucieszył się, kiedy puścił jego rękę. Wyszedł z rodzicami z kancelarii.

Jim siedział w samochodzie pod bramą domu poprawczego. Jedną nogę założył na kierownicy.

— Jak się masz, Claude? — zawołał.

— Hallo Jim! — powiedział Claude, ściskając mocno dłoń brata. — Nigdy bym ciebie nie poznał, braciszku; aleś wyrósł!



Jim miał osiemnaście lat. Claude odstąpił kilka kroków i obejrzał samochód.

— Co, Forda kupiliście?

— Przecież pisałam ci o tem, Claude — rzekła z wyrzutem matka. — Czy nie pamiętasz, że ci napisałam. Pewność wcale moich listów nie czytał, syneczku. I w swoich listach nigdy na moje nie odpowiadałeś.

— Jak Boga kocham, że czytałem! — powiedział Claude, siadając na miejscu przy Jimie — tylko, że miałem dużo listów od słuchaczy radja...

Maszyna przecięła maleńkie miasteczko, leżące u stóp wzgórza, na którym stał dom poprawczy i wyjechała na otwartą drogę polną.

Był kwiecień. Claude odetchnął pełną piersią.

— Tak to jest życie! — zawołał, czując wiatr przez zaciśnięte zęby.

— Jeżeli się nie poddasz! — krzyknął w odpowiedzi Jim.

Roześmieli się obydwaj i Jim, zdjawszy rękę z kierownicy uderzył Claude'a w udo.

Matka siedziała pochyłona naprzód, chciała z nimi pomówić. Przez cały czas głaśniała Claude'a. Nie chciał, żeby to robiła. Psuło mu to nastrój.

— Dobrze jest popatrzeć znów na świat boży, syneczku? Pomyśleć tylko, pięć lat siedzieć pod kluczem.

— Przecież mama doskonale wie, że już od trzech lat jeździłem co roku na *tournee* koncertowe z naszą orkiestrą.

Odchyliła się na oparcie, ale po chwili znów pochyliła się do niego.

— Synku, a nie wybierasz się znów na politechnikę, nie masz ochoty kształcić się na inżyniera-elektryka? Wiesz, ten Robertson, co to był z tobą razem w klasie, kończy w tym roku studia. Trzeciego dnia mówiłam właśnie z panią Robertson, i pomyślałam, że powinieneś powrócić do nauki. Masz dopiero 22 lata. Jeszcze nie jest zapóźno!

— Nie! — odpowiedział krótko Claude — będę muzykiem.

— Co ty mówisz, synku, z muzyki teraz nie wyżyjesz. Tacy Gibbertowie, ty chyba nie znasz Gibbertów, mie-

szkają w mieście. Właśnie ten Gibbert miał doskonałą posadę, grał na bębnie w teatrze Ritz. Ale już prawie rok upływa od czasu jak w Ritzu otworzyli kino i mister Gibbert od roku nie ma pracy. Słyszałam, że poprostu umierają z głodu.

— Wiem, mam, o tem wszystkim, ale dla dobrego trębacza zawsze znajdzie się zajęcie.

— No, oczywiście, synku, pan kierownik Gintz tak ciebie chwalił.

— A dlaczegożby miał nie chwalić stary przyk. Przecież ja kierowałem całą orkiestrą. Nie dadzą sobie teraz bezemnie rady z chłopcami.

## II

Słońce już zachodziło, kiedy Jim przeszedł na drugi bieg i Claude zobaczył wzniesienie na północ od farmy Humphrey. Coś go zdławiło za gardło, kiedy droga potoczyła się przez znajome strony.

Samochód szedł obok parku cmentarnego na Rose-Hill. Ojciec, który przez cały prawie czas milczał, pochylił się ku przodowi i powiedział, wskazując palcem:

— Popatrz na prawo, Claude, tam za srebrzystymi topolami, widzisz jaką kolumnę marmurową postawili na grobie cookierowskiego chłopca? Mogli postawić marmurową kolumnę, nie musieli płacić adwokatom.

— Bez krwawych szeregów, ojczulku! — zawołał Jim.

Steve Cookier był tym właśnie chłopcem, który razem z Claudem napadł na stację benzynową, wówczas, w noc lipcową, przed sześcioma laty. Właściciel stacji wpakował Stevowi między łopatki cały ładunek śrutu. Zeznając na sprawie, Claude powiedział, że żałuje jednej rzeczy: tego, iż chybił strzelając do człowieka, który zabił Steve'a.

Starzec był niewzruszony. Mówił dalej:

— Widzisz nasze nowe drapacze chmur, Claude. Spójrz. Ten dom naprzeciwko, który budują, będzie miał sześć pięter. Nowy hotel. A ten wysoki

biały dom, który ma na dachu coś w rodzaju gołębnika, to nowy gmach banku Narodowego. Mówią, że na tym kurniku mają zamiar zrobić maszt dla żepelinów. Całą jezdnię zrobili tutaj nową. Nie poznasz starego miasteczka. Prawdziwe miasto!

Jim skręcił kierownicą, by odwiedzić staruszkę na 2-ą ulicę do sklepu wyrobów żelaznych. Już zupełnie ściemniało i subjekt czekał na zamknięcie sklepu. Mister Parson zeszedł i poszedł do

środką przyjąć kasę. Charlie Rice, subjekt, przywitał się z Claudem.

Ellis i Walter przyjechali wieczorem po kolacji. Claude chciał pójść na spacer z Jimem, ale usłyszawszy szum motoru zrozumiał, że nie ucieknie. Ellis spodziewała się dziecka. Boże, jaka ona jest gruba. Czuł się nieswojo w jej towarzystwie.

Męża siostry, Waltera, nie widział dotąd nigdy. Odrazu poczuł do niego antypatję. Nie podobał mu się jego spo-





sób podawania ręki, równo, bez zginania łokcia. Walter był przystojnym młodym chłopcem, jego czarne, wypomadowane włosy wyglądały tak, jak gdyby je narysowano na czaszce. Nosił okulary w złotej oprawie i śmiał się niedorzecznie, bez przyczyny. Walter wyszedł naprzód i sztywno uściśnął rękę Claude'a.

— To pan jest Claude, he-he-he — powiedział, chichocząc monotonna. — Dużo o panu słyszałem. Zupełnie jak gdybyśmy się znali całe życie, he-he-he.

— Tak? — powiedział niezadowolony Claude.

Nastąpiła minuta przykrego milczenia, ale pani Parson, która uwijała się koło nich, postarała się o zatarcie przykrego wrażenia, mówiąc:

— Pisałam ci o Walterze, Claude. Walter jest zarządzającym sklepów kolonialnych wielkiej spółki zachodniej w naszym mieście. Mają tutaj pięć sklepów. W całym stanie mają sporo sklepów. Walter zaczął tam pracować przed pięcioma laty, w wieku lat 22, akurat tyle, ile ty masz teraz.

Kiedy rozmowa znalazła się w tem łożysku, Walter powiedział:

— No, a jakie pan ma teraz plany, Claude, he-he-he-he?

— Nie myślę, żebym miał jakiegolwiek plany — powiedział Claude.

— Nie myśli pan, he-he-he? Mówiłem o tem z Ellis, to jest Ellis mówiła ze mną, he-he-he-he. Ja zawsze mówię, że ja jestem głową domu, ale Ellis jest szyją, a szyja skierowuje głowę tam, gdzie chce, he-he-he-he.

Walter pokazał to poglądowo, kręcąc sztywno głową.

— Chodzi o to, że zwalniamy staruszkę Krause, naszego rzeźnika, pod koniec miesiąca. Mięso przychodzi do nas już porąbane i niema poci płacić pensji doświadczonemu rzeźnikowi, he-he-he. Pomyśleliśmy więc, że może pan obejmie stanowisko sprzedawcy w dziale mięsnym w jednym z naszych sklepów. Miejsce będzie wolne od pierwszego, a do tego czasu będzie pan miał okazję pobawienia się na wolności, he-he-he. Pensja oczywiście jest niewielka,

ale może pan popracować do czasu, kiedy się nawinie jakaś lepsza okazja, według zamiłowań.

— Według zamiłowań? A co pan chciał przez to powiedzieć? — zapytał Claude.

— A nie nauczyli tam pana jakiegoś fachu? — zapytał Walter. — Zdawało mi się, że w takich miejscach zawsze uczą.

— Zaraz dowie się pan jeszcze czegoś. Jestem waltornistą i kapelmistrzem, a kierownik może poświadczyć, że nie jestem gorszy od innych trębaczy w stanie.

Walter powiedział:

— Ach tak? Doskonale, he-he-he-he. Claude wstał porywczo.

— No, zmęczyłem się setnie — powiedział, ziewając — pójdę, położę się na strychu.

Pani Parson podbiegła i powiedziała troskliwie:

— Tak, tak, idź synku. Powinieneś położyć się i wyspać porządnie. Miałeś dziś ciężki dzień. Postawiłam ci łóżko w pokoju Jima, idź, połóż się.

Wszedł po schodach, rozpinając po drodze koszulę. Zapalił światło w pokoju Jima, w pokoju, który przed sześcioma laty należał do niego, i zamknął drzwi. Słyszał, jak matka pośpiesznie wchodziła na górę.

Zawołała:

— Claude, nie chciałbyś wykąpać się wieczorem? Jest dla ciebie gorąca woda. Spałbyś potem doskonale, synku.

— Nie, mam — odpowiedział, zlekka uchylając drzwi, ponieważ stał już w bieliznie. — Nie warto, doprawdy. Już tak się położę.

— E, wziąłbyś, synku, gorącą kąpiel. Pali się pod kotłem od chwili jakiegoś przyjechali, gorącej wody jest ile dusza zapagnie.

— Nie, nie warto!

„I dlaczego ona tam, jak Boga kocham, stoi za temi drzwiami“ — pomyślał.

Zamknął drzwi.

— Ach, syneczku, zapomniałam przygotować nocną koszulę dla ciebie. Włóż koszulę Jima. Czeka, podam ci ją.

Stuknęła cicho we drzwi.

— Poczekaj, poczekaj, włożę spodnie — zawołał. Wciągnął spodnie i otworzył drzwi. Matka wyjęła piżamę Jim'a i poszła.

Włożył piżamę i położył się do łóżka. Zdawało mu się, że spał kilka godzin, kiedy obudziło go światło. To Jim wrócił z randki.

Claude mrugnął oczami i Jim roześmiał się. Claude zaklął cicho.

— A ciebie gdzie djabli nosili? — zapytał.

— Tu łażę, niedaleko — powiedział Jim.

Claude usiadł na łóżku.

— Szukałem ciebie po kolacji. Wiesz, Jim, mam do ciebie prośbę!

— No, o co chodzi?

— Znajdź mi dziewczynę na jutro wieczór.

— Każda się nada? — zapytał Jim, robiąc perskie oko.

— Każda. Oczywiście jakaś ładna.

Kapujesz?

— Kapuję...

Jim zarżał pocichu.

— Zrobione! — dodał po chwili i przekreślił kontakt.

Położył się do łóżka i umościł się wygodniej. Potem powiedział poważnym szeptem:

— Słuchaj, Claude, zdaje się, że ja będę mógł to zorganizować. U Maxin, ta dziewczyna z którą dziś spacerowałem, u Maxin Davies jest kuzynka, taki głuptasek, myślę, że ta się nada. Pomówię z Maxin, a wy możecie siedzieć w samochodzie na tylnych miejscach. Oczywiście słowa nie powiemy o tem, gdzieś ty był ostatnio.

Claude poczuł, jak w mroku cała krew spłynęła mu do głowy. Zdawało mu się, że zwariuje. Ten młokos, bracie, wstydzi się tego, gdzie on był. Parszywy szczur. „Oczywiście my nic nie powiemy...” Powinien być dumny z tego, że jest krewnym człowieka, którego gra na waltorni zyskała sobie pochwały wszystkich radjostacyj w całym kraju. Wstydzi się, że jest bratem zastępcy dyrygenta orkiestry domu poprawczego? Wiesz nieśczęsna.

Claude milczał chwilę. Nie chciał wybuchnąć i zepsuć wszystko. Kiedy znów przemówił, głos jego drżał lekko.

— Wiesz, Jim, ja tu sobie tak leżę i myślę o jednej dziewczynie, którą spotkałem ubiegłego lata w Sancet-parku. Wiesz przecież: nasza orkiestra jeździła co roku na letnie *tournée*. Grałiśmy w tym parku. Regulamin był





bardzo surowy, ale któregoś wieczora była przerwa i poszedłem sobie do jednej z tych bud, gdzie są wszelakie sztuczki, góry, wodospady i tak dalej. Byłem w mundurze naszej orkiestry. A mundur był ładny. Tam spotkałem tę dziewczynę. Lona było jej na imię. Straciła z oczu towarzystwo, z którym przyszła i bez trudu przywaliłem się do niej. Do diabła, fajna była dziewczyna. Szkoda, że nie dowiedziałem się, jakie ma nazwisko. Kiedy wróciłem, już mnie szukali, myśleli, że zwałem. Ale staruszek Wetstein — byliśmy pod jego nadzorem — nic nie powiedział. Nie mógł się beze mnie obejść i uszło mi to płazem, coby się innemu nie udało.

Parę chwil trwała cisza; potem Jim powiedział sennym głosem:

— Tobie to się zapewne czasem przydaje.

Claude zrozumiał, że brat zasypia. Powiedział:

— Tak.

I leżał w ciemności, zupełnie już obudzony i myślał o drewnianej estradzie dla orkiestry w Sancet-parku i o tem, jak ponuro odstukując takt, rywalizowały ze sobą orkiestry na karuzelach, jak błyszczały wijące się girlandy światła, jak chłodne były ścieżki w cieniu drzew. Myślał o dziewczynie, o ciemnem poroślem sitowiem jeziorze, o tem, jak zamoczyli nogi, wysiadając na brzeg. Przypomniawszy sobie, jak spodobał się dziewczynie jego mundur, czerniony ze złotymi sznurami. Usiłował przypomnieć sobie rysy jej twarzy, ale uciekły mu z pamięci. I marząc tak, zasnął.

### III

Nazajutrz rano obudził się wcześniej jak zwykle. Przypomniawszy sobie, gdzie się znajduje i żeby się upewnić, wyprężył się między chłodnemi, gładkiemi prześcieradłami. Jim spał jeszcze.

— Tak, tak to wygląda — szepnął Claude. Przewrócił się na drugi bok i zasnął.

Kiedy obudził się po raz drugi, Jima

już nie było. Claude wstał i ubrał się powoli. Budzik na komodzie wskazywał dziesiątą. Poszedł do łazienki i ogolił się żyletką Jima. Wyrzucił stary nożyk, chociaż był jeszcze zdalny do użytku, i wstawił nowy. Kiedy się golił, matka zawołała z dolnego piętra:

— Claude, wstałeś?

— Tak! — krzyknął w odpowiedzi.

— Przygotuję ci śniadanie.

— Nie rób sobie kłopotu.

— Zostawiłam dla ciebie, synku.

Wszystko jest jeszcze ciepłe. Tylko postawię na stół.

Zeszedł nadół i przechodząc przez przedpokój, wziął gazetę. Była zmięta i podarta, więc stanął we drzwiach, by ją wygładzić. Matka weszła pośpiesznie, niosąc talerz z szynką i jajkami. Na stole, na miejscu przeznaczonem dla niego stał talerz ze smakołykami. Otworzył gazetę i podtrzymując, jadł i czytał.

Matka stanęła obok.

— Przyjemnie chyba jest zjeść dobre, domowe śniadanko, prawda, synku?

— Nieźle — powiedział Claude — ale jestem wogóle przyzwyczajony do dobrego jedzenia. Nasza orkiestra grała podczas obiadu i nie jedliśmy nigdy przepisowych pokarmów. A kiedy zajmłem się transmisjami radiowymi, to słuchacze przysyłali mi tyle specjalów, że nie mogłem zjeść wszystkiego. Co do licha? Ciągłe jeszcze nie możecie zrozumieć, że ja tam zdobyłem pewną pozycję.

Kiedy skończył, wytarł brzegiem obrusa resztki jajka na wargach i zawołał:

— Mamo!

Pani Parson stanęła we drzwiach kuchni.

— Mamo — powiedział — gdzie jest mój stary saksofon?

— Syneczku, czy ja ci nie pisałam o saksofonie? Chłopiec Sperlocków, tam na końcu ulicy, zaczął się uczyć muzyki i ojciec skorzystał z okazji, żeby się go pozbyć i sprzedał saksofon. Leżał prawie w śmieciach, pociemniał, nie wiedzieliśmy, czy ci będzie potrzebny. Pisałeś przecież, że grasz tam na waltorni...

— Sprzedali! — jęknął. — Przekleń-

stwo. Sprzedali mój saksofon. Czy naprawdę?

— Claude, nie przeklinaj, synku.

— A jak mam się wyrażać? Pewnoście myśleli, że będę tu w braku laku słuchał radja?

— Nie wiem, synku. A czy oni nie proponowali ci, byś wziął waltornię do domu?

— Nie!

— A zdaje się, że powinni byli dać. Wiesz, w zeszłym roku tyle w gazetach o tobie pisali. Pisali, że gdyby nie twoje słowo w „Dzikiem irlandzkiej róży“, którą nadawali przez radjo, to tamten milioner nie kupiłby nowych mundurów dla waszej orkiestry. Mogliby, w każdym razie, dać ci tę waltornię.





— Niby jak mieli dać? Waltornia jest własnością orkiestry. Jakżeby mógł ją wziąć?

— Claude, na jesieni, po żniwach, nie będzie tak krucho z pieniędzmi i może uda mi się wtedy namówić ojca, by kupił ci nową waltornię. Wiesz synku, przykro mi mówić o tem, ale ojciec do tej pory nie dał sobie rady z interesami, od czasu, kiedyśmy zapłacili honorarjum adwokatom, którzy ciebie bronili.

— Tak, tak, wiem o tem.

Claude wstał, podszedł do dębowego kredensu. Stał tam błękitny dzbanek, gdzie matka kładła drobne na mleko i lód. Wyjął dolara i wyszedł przez frontowe drzwi. Powoli poszedł drogą do miasta, przeciął Burbanck-Park, powłóczył się trochę w cieniu. Kiedy wyszedł na handlową ulicę z drugiej strony parku, zauważył nowy szyld na jednym z domów. Przeszedł obok. Było tam ciemno i chłodno i miejsce to wyglądało jak całkowicie opuszczone.

Claude myślał o tem, ile jeszcze przejdzie czasu, zanim będzie mógł wziąć kij w ręce. Stary Franck, właściciel lokalu, leniwie stukał kijem w bilę na sali bilardowej. Claude wiedział, że lepiej nie zaczynać z takim starym wygą, jak Franck. Zatrzymał się chwilę, ale poszedł wreszcie naprzód.

Na końcu ulicy wszedł do sklepu i kupił sobie harmonijkę za 75 centów. Przechodząc obok stoiska z pismami, ściągnął magazyn kryminalny. Poczem szybko poszedł do domu.

Cały dzień siedział na ganku i grał na harmonijce. Wprawiał się w naśladowaniu pociągu, przechodzącego przez tunel.

O czwartej przeszli przed domem uczniowie. Claude gwizdał wślad za uczennicami. Obejrzały się, uśmiechnięte, i Claude zawołał:

— O, ho, ho...

Ale poszły dalej.

Claude poszedł do domu, wziął kąpiel i oczyścił sobie buty. Kiedy opryskiwał głowę wodą kolońską, wszedł Jim.

— No, przyjacielu, na dzisiejszy wie-

czór zostało ułożone — powiedział Jim. — Maxin przyprowadzi ze sobą tę głupią kuzynkę. Żeby nam tylko stary nie odmówił samochodu.

— Więc zrobione?

— Wszystko, tylko jeszcze sprawa samochodu. Biorę go zawsze w niedzielę wieczorem. Żeby tylko ojcu nie wpadło coś dziś do głowy.

— Wszystko będzie o'key. Powiem staremu, że bierzemy samochód na naszą odpowiedzialność, pod dobrą opiekę.

## IV

Już ciemniało, kiedy Jim zatrzymał samochód przed małym domkiem na Edison-Avenue. Jim przycisnął syrenę. Po krótkim czasie wybiegła na trawnik dziewczyna w białej sukni. Druga zeszła powoli ze schodków i poszła wślad za nią.

Pierwsza dziewczyna zbliżyła się do samochodu. Jim powiedział:

— Maxin, pozwól sobie przedstawić mojego brata, Claude'a.

Maxin pisała:

— Ach, dzieńdobry! — i zaczęła chichotać.

Claude powiedział poważnie:

— Bardzo mi miło poznać panią.

Zeszedł z przedniego miejsca i obszedłszy samochód dokoła, otworzył tylne drzwi. Maxin pobiegła dokoła i zajęła miejsce przy Jimie. Zbliżyła się druga dziewczyna. Miała włosy koloru dojrzałego zboża, nieco wylupiaсте oczy i wargi wymalowane nakształt serca. Usiadła na wygodnym miejscu i Claude, wszedłszy po niej, zatrzasnął drzwi. Jim odwrócił się od kierownicy i powiedział:

— Miss, ach miss. Przepraszam bardzo, ale nigdy nie mogę zapamiętać pani imienia.

— Ach, przepraszam — pisała Maxin — Ireno, to jest pan Claude Parson. Panie Parson, proszę się przedstawić mojej kuzynce, Irenie Withers.

— Ach proszę, ach proszę! — powiedział, błaznując, Jim.

Wszyscy roześmieli się.

Teraz Claude powiedział:

— Skorośmy się już przedstawili, to już nie pomylimy się — i wszyscy rozśmiali się znowu.

Jim przycisnął starter i samochód szarpnął się naprzód. Claude, korzystając z ogólnej wesołości, objął blondynkę.

— Dziecino, tylko pani brakło mi w życiu — powiedział, przyciskając ją do siebie.

— Noooo — mruknęła, patrząc na niego i odsuwając się.

— Co się stało, dziewczeczko? — troskliwie zapytał Claude.

Nadeła wargi.

— Nie trzeba tutaj, w mieście. Jeszcze ktoś zobaczy.

Zupełnie ściemniało, kiedy Jim zahamował na bocznej drodze wiejskiej. Wyłączył motor i westchnął. Wokoło

było ciemno. Jim i Maxin całowali się zrzadka. Wreszcie Jim powiedział:

— Chodźmy, Maxin, narwiemy kwiatów.

Wysiedli z samochodu i poszli. Nie zdążyli ująć jeszcze paru kroków, gdy usłyszeli jak dziewczyna w samochodzie powiedziała:

— Niech pan przestanie, Claude!

A potem usłyszeli jak krzyknęła:

— Zabierz swoje brudne łapy, przekłety wisielcze!

Zatrzymali się, nasłuchując.

Rozległ się głośny jęk.

— Boże, on ją zadusi! — zawołała Maxin i pobiegła do samochodu. Jim pobiegł za nią.

Kiedy zbliżyli się do samochodu, zobaczyli Claude'a siedzącego na podłodze i jęczącego.







— Co się stało, Claude? — zapytał Jim.

— Ta przekłeta djablica kopnęła mnie prosto w brzuch — wyjęczał Claude.

— Słuchaj, Ireno, co to za głupie kawały? — powiedziała Maxin. — Gdybym wiedziała, że robisz takie sztuki, tobym cię nigdy nie zaprosiła z nami.

— Phi, wielkie rzeczy — powiedziała blondynka. — Zdaje się, że nie jestem znów takim „nie dotykaj mnie“, ale nie pozwolę byle brudnemu katorżnikowi, żeby mnie dotykał. Zanadto siebie szanuję.

Jim zwrócił się do Maxin:

— Toś ty jej powiedziała, toś ty to zrobiła! — powiedział ze wzgardą.

— Nie, Jim, ja nie mówiłam. Jak Boga kocham, nie nie mówiłam. Czy ja ci coś powiedziałam, Ireno?

— Oczywiście, żeś mówiła i niema poco kłamać i wykręcać się, Maxin Davies. A wszystko jedno nie pozwolę, żeby byle oszust łapał mnie rękami i jeżeli nie będzie ostrożniejszy, to dostanie takiego kopniaka, że polecą tam, gdzie jego miejsce.

I rozpląkała się nagle.

Claude wrócił do siebie. Usiadł spowrotem na miejsce.

— Wisielec, powiadasz — rzekł oburzoną głosem — ty smarkata, a co ty o mnie wiesz? Nawet nie wiesz, kim ja jestem. Jestem dyrygentem orkiestry. Gram dla radja. Jestem najlepszym trębaczem w naszym stanie. Wiesz o tem, co?

— Tak, trębacz! — powiedziała przez łzy dziewczyna.

Przestała płakać.

Pogarda osuszyła łzy. Wyjęła puder i zaczęła się pudrować w ciemności.

— Ja ci potrabie, jak mnie jeszcze raz dotkniesz.

— No, Claude, co zamierzasz robić? — zapytał niecierpliwie Jim.

— Robić, robić? Jasne — zawieźć tę smarkatę spowrotem do domu.

Spowrotem jechali w milczeniu. Jim zatrzymał samochód przed bungalowem na Edison-Avenue i obydwie dziewczyny wysiadły. Maxin wskoczyła na stopień samochodu i szepnęła coś Jimowi. Claude przelaż na przednie miejsce do brata.

Przez cały czas przeklinał:

— A to bydlę dopiero. Brudna dziewczka. Nazwała mnie wisielcem. A wiesz, kim ja jestem? Smarkata nigdy nie słyszała przez radjo, jak ja gram. Chciałbym być dziś w mundurze. Przekłęta, parszywa dziewczka!

Jim nie mówił ani słowa. Kiedy podjechali do domu, Claude wysiadł, ale Jim nie zdjął ręki z kierownicy.

— Co, chcesz odprowadzić samochód do garażu? — zapytał Claude.

— Nie, wracam po Maxin — powiedział Jim.

Claude stał i patrzył za znikającą w ciemności czerwoną lampką samochodu. Kiedy światło znikło, mruknął, rozglądając się z roztargnieniem:

— Gdyby mnie widziała w mundu-

rze, byłoby inaczej. Nie wiedziała przecież, kim ja jestem...

Usiadł na kamiennym balkonie i wyjął harmonijkę. Potem cicho zaczął naśladować bieg pociągu towarowego przez tunel; daleki, smutny gwizdek lokomotywy.

Po jakimś czasie matka zawołała z okna sypialni na parterze:

— To ty, Claude?

— Tak.

— To ty hałasujesz na harmonji?

— Tak.

— Idź, połóż się spać, synku. Już wpół do jedenastej.

Wstał i nagle rzucił harmonijkę tak mocno, że się rozleciała. Potem wszedł do domu.

J. MILBURN







# Para odświętnych spodni

Po upływie dwóch tygodni od chwili, kiedy Bert Fellowes sprzedał za 1200 dolarów swą fermę na Buck-Road i Mitchellowie wprowadzili się tam i objęli ją w posiadanie, Bert uprzytomnił sobie, że zapomniał swą drugą parę odświętnych spodni na strychu.

Kiedy Bert przewoził meble i ubranie na nowe miejsca do Scowhagan-Road, był pewien, że niczego nie zapomniał, ale któregoś dnia, kiedy chciał się ubrać w odświętne spodnie, nie mógł ich znaleźć.

W ciągu paru dni Bert medytował, co ma zrobić i wreszcie postanowił

pójść do Abe Mitchella, aby poprosić go o pozwolenie pójścia na stryszek i zabrania spodni.

Znał przecież Abe od dzieciństwa i nie wątpił, że ten zgodzi się napewno na taki drobiazg. Kiedy Bert przyszedł na podwórze swego dawnego domu, zastał Abego przybijającego nową deskę do schodka przed wejściem do domu.

Abe spojrzał na niego i pracował dalej w milczeniu.

Bert poczekał, póki Abe nie skończył strugania deski.

— Jak się masz, Abe? — zapytał ostrożnie.

— Ja tam zawsze mam się dobrze! — mruknął Abe, nie odrywając oczu od schodka.

Bert zbierał się na odwagę, by poprosić o pozwolenie wejścia do domu. Począł, aż Abe wbił w deskę 20-pensowy gwoździ.

— Zapomniałem tu pary spodni, Abe — zaczął w formie przedmowy. — Czy mogę wejść na strych i wziąć je?

Abe wypuścił młotek wprost na schodek. Wylał twarz chustką i odwrócił się do Berta.

— Spróbuj tylko wejść do mojego domu, a ja cię podam do sądu. A co mnie to wzrusza, żebyś chociażby nawet 50 par spodni zapomniał na strychu! Ja kupiłem tę działkę, zapłaciłem za wszystko, co na niej jest wybudowane i nie życzę sobie, żeby ktokolwiek mi się tu włóczył. A kiedy zechcę, żebyś przyszedł, to bądź spokojny, na pewno cię zaproszę...

Bert podrapał się w kark i popatrzył na górę — w okno strychu.

Był zły na siebie, że w takim roz-targnieniu przewoził rzeczy do nowego mieszkania na Scowhagan-Road.

— Przecież te spodnie dla ciebie się nie nadają — powiedział. — W tych spodniach zmieści się dziesięciu takich jak ty. I przecież w istocie są moje.

— Powiedziano ci, co się zrobi z twojemi portkami — odpowiedział Abe, zabierając się znów do pracy. — Wiem, co mam z nimi zrobić, z temi twojemi spodniami. Ja ich nie oddam, oto co z nimi zrobię.

Bert odwrócił się i wyszedł na drogę, spoglądając na okno strychu, gdzie na belce wisiały jego spodnie.

Zatrzymał się i przez parę minut patrzył na Abego, ale ten wbijał w nowy schodek 20-pensowe gwoździe i nie zwracał najmniejszej uwagi na gniewne spojrzenia Berta.





Bert poszedł do domu, rozmyślając nad tem, jak się będzie mógł obejść bez zapasowej pary spodni.

Do czasu zanim Bert doszedł do swego domu, był już porządnie zły i rozjątrzony. Nie obchodziło go w takim stopniu to, że Abe wygnał go z jego dawnej fermy, lecz coraz bardziej dolegał mu brak drugiej pary spodni. Trzeba było iść spać, a on wciąż nie mógł się uspokoić. Chodził po kuchni, mruczając coś pod nosem i starając się obmyśleć plan wyzwolenia swych spodni z rąk Abego.

— Ci demokraci, to nic dobrego, czegoż się po nich można spodziewać! — mówił do siebie.

Po upływie pół godziny szedł znów drogą do swej dawnej fermy. Począł trochę, aby się przekonać, że Abe śpi i teraz miał zamiar wejść do domu, wyleźć na strych i zabrać swoje spodnie.

Bert wymacał w mroku otwarte okno stodoły i przekonał się, że to będzie najłatwiejsza droga. Przeszedł więc tędy i przez stajnię do domu.

Przez trzy lata zbierał się zabić to okno deskami i cieszył się teraz, że nie zdecydował się wkońcu.

Abe poszedł spać koło dziewiątej. A kiedy Bert zatrzymał się przy drzwiach, nasłuchując, chrapał już nadobrze. Żona Abego ogłuchła dobrych 20 lat przedtem. Bert znalazł spodnie bez trudu. Jeden raz tylko musiał zapalić zapalniczkę na strychu. Spodnie wisiały na pierwszym z brzegu gwoździu. Włazł przez okno stodoły, Bert zdjął buty, a po domu mógł chodzić z zawiązanymi oczami. Wejść i wyjść z domu było rzeczą ogromnie łatwą. Niechby tylko Abe chrapał tak dalej, a wszystko pójdzie jak po maśle.

Po minucie wylazł ze stodoły, wciągnął buty, trzymając spodnie pod pachą. No, dał szkołę Abemu, udał się dobry kawał. Bert poszedł do domu i położył się spać.

Nazajutrz rano, przed dom Berta zajeżdżał samochód, z którego wyszedł Abe Mitchell. Bert zobaczył go przez okno i wyszedł na spotkanie. Miał na sobie

odświętne spodnie, te same, które Abe chciał zachować dla siebie.

— Złożę na ciebie skargę i zażądam aresztowania, za to, że ukradłeś moje spodnie! — oświadczył Abe, kiedy Bert otworzył drzwi. — Ale jeżeli w tej chwili mi je oddasz, być może zgodzę się nie ściągać z ciebie kosztów sądowych. Do ciebie należy decyzja, jak ci wygodniej!

— Proszę bardzo — powiedział Bert. — W sądzie zobaczymy kto ma rację, chociaż ty sobie wyobrażasz, że jesteś ważną figurą. Patrzcie go, myśli, że nastraszy! Możesz skarżyć do sądu ile chcesz ale nie proś, żebym poręczył za ciebie, kiedy zamiast mnie, wsadzą ciebie do paki.

— No, jeżeli tak — rzekł Abe, czerwieniąc jak rak — nadaję bieg tej sprawie. Zaraz składam przysięgę i otrzymam nakaz aresztowania i dziś wieczorem wsadzą cię do kozy.

— Dobrze, wszyscy wiedzą, gdzie mnie trzeba szukać — oświadczył Bert, zamykając drzwi. — Ja zwykle siedzę w domu.

Abe podszedł do samochodu i zajął miejsce. Zapuścił już motor, ale zgasił go nagle.

— Chodź-no tu Bert na chwilę! — zawołał.

Bert przez parę chwil oglądał go przez szparę w drzwiach i wyszedł na podwórze.

— Dlaczego nie jedziesz po nakaz aresztowania? Na co czekasz?

— Widzisz, chcę ci coś zaproponować. Zaoszczędzimy i czas i pieniądze, jeżeli pojedziesz odrąz teraz, ze mną razem, do sądu. A tak będziesz musiał zapłacić za przysłanie po ciebie człowieka, który przywiezie nakaz aresztowania. Jeżeli sam zgłosisz się do sądu będą koszta znacznie mniejsze.

— Co ty sobie myślisz, Abe Mitchell? Czy ja jestem zupełnym durniem? — powiedział Bert. — Czy to wygląda na mnie, żebym ja zapłacił 10 dolarów za samochód, który mnie zawiezie do więzienia?

Abe pomyślał chwilę, patrząc zukośsa na Berta:



— Wiesz co, Bert? — zaproponował — siadaj do mojego samochodu, ja cię tam zawiozę i nie będziesz miał wydatku na samochód.

Bert wyciągnął z kieszeni fajkę i tytoń. Abe czekał aż Bert przemyśli jego propozycję. Bert nie mógł znaleźć zapalniczki i Abe podał mu ogień.

— No i co, zgadzasz się Bert? — zapytał.

— Nie goń mnie, muszę mieć trochę czasu, by wszystko obmyśleć jak się należy.

Abe czekał, pochylony niecierpliwie ku Bertowi. Zapalniczka złamała się i Abe usłużnie podał drugą.

— No, myślę, że mogę ci zrobić tę małą przyjemność — powiedział wreszcie Bert — poczekaj, tylko zamknę dom.

Kiedy Bert wszedł do samochodu, Abe zapalił motor i skręcił na drogę do Scawhagan. Bert siedział obok niego, kurząc fajkę. Przez cały czas nie powiedzieli do siebie ani słowa. Abe gonił jaknajprędzej swoją starą maszynę, bo śpieszyło mu się niezwłocznie zaarrestować Berta i rozpocząć sprawę.

Zajechali przed gmach sądu, weszli razem do środka. Abe złożył przysięgę i nakaz aresztowania został zmiejscą zrealizowany. Szeryf przeprowadził ich na salę posiedzeń i kazał Bertowi siąść na jednej z pierwszych ławek i czekać. Szeryf powiedział, że sprawę można

przesunąć tak, ażeby się odbyła od razu po południu. Abe też znalazł sobie miejsce i czekał.

Po godzinie sprawa znalazła się na wokandzie. Ktoś wywołał imię i nazwisko Berta i kazał mu wstać. Abe siedział bez ruchu, czekając aż go wezwą do składania zeznań świadka.

Bert, stojąc, wysłuchiwał aktu oskarżenia. Potem sędzia zapytał go czy przyznaje się do winy.

— Nie — odpowiedział Bert.

Abe skoczył zmiejscą i zaczął machać rękami.

— On kłamie! — wrzasnął na cały głos. — Jak Boga kocham, kłamie. On ukradł moje spodnie!

— Kto to jest? — zapytał sędzia.

— To ten sam, który złożył przysięgę, aby otrzymać nakaz aresztowania — powiedział urzędnik. — Oświadczył, że mu skradziono spodnie.

— No, jeżeli jeszcze jeden raz tak wrzaśnie — powiedział sędzia — to ja złożę przysięgę i zaarrestuję go za to, że mnie doprowadził do bólu głowy. Niech ktoś go poinformuje, że istnieje taka rzecz jak zniewaga sądu. Wygląda na demokratę, więc napewno w życiu o tem nie słyszał.

Sędzia uderzył w stół, wzywając do porządku i zwrócił się do Berta.

— Pan ukradł parę spodni temu człowiekowi? — zapytał.

— To są moje własne spodnie — wy-



jaśnił Bert. — Zapomniałem ich w domu, który sprzedałem Abe Mitchellowi, a kiedy przyszedłem po nie, nie chciał mi ich oddać. Nie ukradłem. Spodnie należały do mnie.

— On kłamie! — ryknął znów Abe, podskakując na miejscu. — Ukradł moje spodnie, od kłamie.

— Dziesięć dolarów kary za obrazę sądu — rzekł sędzia, wskazując młotkiem Abego. — Sprawa umorzona spowodu braku dowodów.

Abe zdębiał. Popatrzył na sędziego, potem obejrzał pokój i obce twarze.

— Za co, za co chce pan ode mnie dziesięć dolarów? — zapytał złym głosem.

— Nie — powiedział sędzia, wstając znów z miejsca — pomyliłem się. Zapomniałem, że pan jest demokratą. Chciałem powiedzieć 25 dolarów!

Bert wyszedł na ulicę i czekał przy samochodzie, aż Abe zapłaci karę. Po kwadransie Abe wyszedł z sądu.

— No, widzę, że będę musiał odwieźć cię do domu — powiedział. — A właściwie powinienem się tu zostawić, żebyś sobie wynajął auto na powrót.

Bert nic nie odpowiedział. Usiadł przy Abe i pojechali spowrotem. Ściemniało już zupełnie, kiedy Abe zatrzymał maszynę przed domem Berta, wyłazł i zatrzaskał drzwiczki.

— Bardzo ci dziękuję za spacer — powiedział. — Przez cały rok wybierałem się do Scawhagan. Bardzo ci dziękuję, Abe, żeś mnie zawiózł. Ale ten spacer był trochę za kosztowny. Doprawdy, nie warto było wydawać 25 dolarów...

E. CALDWELL





## O pomysłowych nazwach

Jednym z najbardziej interesujących, ale i najbardziej zarazem trudnych zawodów, jest wymyślanie nazw i tytułów. Nie mówię o tytułach dzieł literackich i naukowych. W tej dziedzinie jest to znacznie łatwiejsze. Coprawa, w poezji trzeba umieć przy pomocy udatnego, pomysłowego tytułu zainteresować odbiorców, żeby skłonili się do kupienia tomika wierszy, ale i tu powstała pewna, określona metoda. I tak np. tytuł „Głóg“ nie może liczyć na powodzenie w takim stopniu jak np. „Tutaj powinien zakwitnąć głóg“. W takim tytule publiczność odczuwa szczególnie czar, o czym wiedział dobrze znakomity poeta Machar.

Nauka, która nie obejmuje życia tak

szeroko jak poezja, nie stara się wzbudzić dla siebie większego zainteresowania przy pomocy pomysłowych tytułów. Jeżeli na przykład jakiś uczony, napisze wstęp do fizyki, to nie zatytułuje takiej książki chociażby tytułem: „Okrycie zagadnień praw przyrody“, ale poprostu, bez wszelkiego dążenia do sensacji, da krótki tytuł, „Wstęp do fizyki“. Inny znów uczony napisze podręcznik geografii i też da zwarty tytuł „Geografia“, ale nie napisze na przykład tak: „O górach, rzekach, ludach i miastach“.

Raz jeden tylko zauważyłem na książce pewnego psychiatry poetyczny tytuł: „O idiotach i ludziach dziwnych“.

Jak już stwierdziłem jest rzeczą znacznie łatwiejszą wymyślanie tytułów dla



powieści. Wystarczy wziąć w czytelnik katalog, by się przekonać, że na tysiąc autorów, u stu, znaleźć można ten sam tytuł. Najczęściej spotyka się: „Ojczyście łany“, „Letnie burze“, „Nowa pieśń“, „Późny kwiat“, „Preludjum“, „Między życiem i śmiercią“, „Jej grzech“ i inne przepiękne tytuły.

Autorzy nie chcą zadawać sobie trudu w wymyślaniu bardziej oryginalnych tytułów. Kiedy autor nie już nie może wymyśleć, pisze: „Garść nowel“ albo „Dwa tuziny opowiadań“ chociażby do dwóch tuzinów brakło pięciu sztuk.

Ja też miałem pewnego razu taką przygodę. Długo obmyślałem oryginalny tytuł dla mojego opowiadania, którego akcja toczy się w dzielnicy praskiej Vinohrady i w rezultacie zatytułowałem je „Życie w Indjach“.

Jednak w beletrystyce takie tytuły nie mają popytu, ponieważ nawet najgłupszy tytuł może skusić jakiegoś nieświadomionego czytelnika. Tytuł wbija się w jego świadomość i zaciemnia ją jakimś osobliwym działaniem psychicznym. A wogóle tytuły powieści, nowel, opowiadań i t. p. są niczem innym, jak zwykłym odbiciem treści.

Pewien pisarz angielski dał swej dwutomowej powieści tytuł „Głupstwo“ i czytelnik zgóry wiedział, czego ma się spodziewać. Inny znów, Francuz, wydał powieść p. t. „Nie“ i rzeczywiście nie w tym tomie nie było.

Ja bardzo lubię te celne i praktyczne tytuły. Wyżej wymienieni autorzy, ożywieni czystymi i dobrymi intencjami w stosunku do publiczności, jakgdyby chcieli powiedzieć: „Tego *głupstwa* proszę nie kupować“.

Jednem z najciekawszych, ale i najtrudniejszych zadań jest wynalezienie tytułu dla pisma. Bierze się pod uwagę, że tytuł powinien odpowiadać treści wewnętrznej i kierunkowi pisma.

Gdyby nie było tego warunku, gazety rosłyby jak grzyby po deszczu.

Znałem człowieka, który mawiał: „Chętnie wydawałbym miesięcznik literacki, ale nie mogę wymyśleć odpowiedniego tytułu“.

Zazwyczaj taki nieszczęsny człowiek wymyśla tytuł, który już istnieje.

Jeżeli jest to dziennik polityczny, to obowiązkowo musi nosić nazwę: „Niezależność“, „Gwardja“ albo „Postęp“.

Czasopisma literackie i artystyczne powinny się nazywać: „Płomyk“, „Ekran“, „Ziemia“, „Niwa“, „Brózdka“, jakgdyby wydawcy i współpracownicy tych pism należeli do związku rolników.

Z almanachami jest jeszcze gorzej. Pewien wydawca prosił mnie o wyrażenie tytułu dla almanachu, w którym zamierzał dać „wiele życia i żywiołu, przenikniętego tchnieniem życia“. Piesmy się nie napracowali, a jednak nie mogliśmy wymyśleć nic lepszego nad „Almanach wydawcy X-a“.

Ale to jest wszystko bzdura w porównaniu z temi trudnościami jakie następcza wyszukanie odpowiedniej nazwy dla nowego przedsiębiorstwa handlowego, czy przemysłowego, lub dla modnych artykułów, które mają się ukazać w sprzedaży i wywołać sensację wśród publiczności.

W takim wypadku nazwa musi zawierać jaknajwięcej żywego przedstawienia przedmiotu, tak, aby rzecz wbiła się w pamięć publiczności. Nazwa powinna być piękna i piorunująca. Powinna hipnotyzować Kiedy czytelnik czyta ogłoszenie: „Czy już pileś... to, to i to“ to owo „to i to“ powinno być do tego stopnia charakterystyczne i po użyciu tak oszałamiające, że konsument niechybnie musi dostać się do zakładu dla alkoholików.

A więc, tytuł powinien być zwierciadłem i żywym odbiciem rzeczy, którą się państwu proponuje do kupienia w ogłoszeniu.

Jeżeli przeczytacie w gazecie: „W każdym gospodarstwie domowym musi być parowa młockarenka“ to nazwa tej młockarenki musi być do tego stopnia fascynująca i charakterystyczna, że musicie ją kupić za wszelką cenę, chociażby trzeba było w tym celu okraść bank albo rozwalić ściany domu, aby ją wciągnąć do siebie, na drugie piętro.

Pewnego razu przeczytałem następujące ogłoszenie: „Dużą nagrodę zapła-



cę temu, kto znajdzie odpowiednią nazwę dla rzeczy, niezbędnej w każdej rodzinie. Wiadomość w hotelu Stefana, pokój nr. 12, od 10 — 11“.

Poszedłem pod wskazany adres. Przyjął mnie starszy pan, o dobronudszym wyglądzie i inteligentnej twarzy.

— Bardzo się cieszę — powiedział — że pan przyszedł... Obawiałem się, że nikt nie przyjdzie. Proszę, niech pan siada i zapali cygaro. Jakic pan pija wino? Co pan woli: muskat czy mozełskie?

Odpowiedziałem, że lubię i jedno i drugie i że wybieram to, które on zamówi. Z poczuciem niezwykłego taktu zamówił dla mnie muskat a dla siebie mozełskie. Kiedyśmy pili, każdy ze swej butelki, opowiedział mi, że wynalazł wózek dla dzieci, który można przenoślić z miejsca na miejsce i który przy wpadnięciu do wody błyskawicznie zamienia się w łódkę. Wózek jest bardzo poręczny i jednym ruchem ręki można go zmienić w huśtawkę. Poza tem, i to jest najważniejsze, można wózek po przewróceniu postawić zamiast biurka. Jego fabryka wyprodukowała już 800 takich wózków a teraz trzeba tylko wymyśleć odpowiednią nazwę. On sam już wymyślił nazwę „Dzieciowóz“, ale mu się ta nazwa nie podoba.

Kiedy ujrzałem, że znajduję się sam, oko w oko z tym człowiekiem, przeszły mi ciarki po grzbiecie.

A on ciągnął dalej:

— Przez cały tydzień myślałem o tej nazwie, nie spałem przez parę nocy, ale nie mogłem wymyśleć żadnej innej nazwy, prócz „Dzieciowóz“. Prześladowuje mnie to słowo w dzień i w nocy. Z każdego kąta słyszę: „Dzieciowóz“. Pan mi też powtarza „Dzieciowóz“ i „Dzieciowóz“... Dlaczego pan się ze mnie śmieje? Przecież ja pana widzę pierwszy raz w życiu. Czy pan nie wierzy, że mój wózek dla dzieci można zmienić na łódkę? Oto szkice techniczne...

Uderzeniem w skroń ogłuszyłem go i śpiesznie wyszedłem z pokoju nr. 12, nie mówiąc nikomu o tem zajściu. Niech tam z nim zrobią w hotelu, co uważają za stosowne...

•

Mniej tragicznie wyglądała sprawa z Wacłeną, bywalcem kawiarni „Brzózki“. Podczas gry w bilard, odciągnął mnie niespodziewanie na stronę i oznajmił, że jego zięć, meblarz, wynalazł trzymiejscowy materac, który czyni łóżko najzupełniej zbędne. Ale, by zorganizować masową produkcję tych materaców potrzebna mu jest koniecznie do-





bra nazwa. Materace te są praktyczne i tanie. Wynalazca prosił go, by odnalazł kogoś, kto mógłby wymyśleć odpowiednią nazwę. I oto Waclena przypomniał sobie, że ja pisuję opowiadania. Jeżeli zaś wymyślam całe opowiadania, to wymyślenie jednego słowa jest chyba dla mnie drobiazgiem. Oczywiście, za odpowiednim honorarjum. Zięć obiecuje podarować mi materac swego pomysłu.

— No, i jakie imię dałby pan takiemu materacowi?

Odpowiedziałem, że jestem zaszczycony okazaniem mi zaufaniem, ale takiej nazwy niema się pod ręką, w kieszeni. Nazwa powinna być zwierciadłem przedmiotu, nazwa musi działać piorunująco! Żeby taką nazwę wymyśleć trzeba odrobiny czasu.

— No, to jutro, dobrze? — powiedział.

— Czy wymyślił pan nazwę? — zapytał mnie nazajutrz, przy wejściu do kawiarni, gdzie czyhał na mnie.

— Przyjechał do mnie wczoraj brat — tłumaczyłem się — i musiałem iść z nim do teatru, na operę. To mi zepsuło cały wieczór. Jutro, z całą pewnością, zakomunikuję panu nazwę materaca.

— No, i jakże ten materac będzie się nazywał? — dręczył mnie nazajutrz.

— Jeszcze nie wiem. Pan rozumie, wymyślenie nazwy dla rzeczy, której się wcale nie widziało jest syzyfowym trudem.

— Pięknie. Jutro ma pan ten materac w domu!

Wyspałem się na tym materacu doskonale i mogę potwierdzić, że jest naprawdę wygodny i mocny.

Przestałem bywać w kawiarni „Brzózki“ i napisałem list do Waclena, komunikując, że proponuję nazwać materac „Materac trzymiejscowy“. Nazwa jest niezbyt krzykliwa i zupełnie odpowiada istocie rzeczy.

Od tego czasu Waclena rozpowszechnia o mnie plotki jakoby wcale nie był pisarzem, tylko oszustem i durniem.

Był jednak w mojem życiu wypadek, który mógł mnie zrehabilitować. Podchodzi raz do mnie w kawiarni mój przyjaciel Opocensky i powiada:

— Przyjdź dziś wieczorem do kawiarni „Kompanja“. Będzie tam pewien pan, członek zarządu nowego browaru w Pilźnie. Osobnik ten szuka odpowiedniej nazwy dla jego piwa. Piwo to ma konkurować z „Prazdrojem pilzeńskim“. Był on niedawno w stowarzyszeniu literackim „Maj“ ale nikt tam nie mógł wymyśleć czegoś odpowiedniego. Opowiadał mi o swoich tarapatkach. W całym Pilźnie nie znalazł ani jednego człowieka, któryby mógł coś wymyśleć. Praga — była jego ostatnią deską ratunku. Ale „Maj“ doprowadził go do czarnej rozpacz. Wygląda na to, że facet popełni samobójstwo. Żeby go uratować postanowiłem zorganizować wasze spotkanie w kawiarni „Kompanja“.

Członek zarządu rzeczywiście źle wyglądał i zdawało się, że chce zakończyć żywot samobójstwem. Opowiedział mi o Pilźnie i o „Maju“ i dodał, że jest już od dwóch dni w Pradze, że przyjechał specjalnie w tym celu i że miał już przykrości z policją. W pewnym barze poznał młodzienica, któremu opowiedział swój ból. Młodzieniec oświadczył, że od czasu do czasu nieważnie niespodziane olśnienia i że w tych stanach zdolny jest wymyśleć genialną nazwę, ale w tym celu potrzebne mu jest natchnienie, bo bez natchnienia jest kompletnym osłem.

— Poilem go, poilem — opowiadał wzdychając członek zarządu. — Wreszcie po wypiciu dziesięciu butelek wina młodzieniec zawołał: „Mam, eureka. Wasz browar znajduje się w Pilzenu pod Piznem. Pilzeńskim nazywa się piwo wyrabiane w Pilźnie. Trzeba wasze piwo nazwać pilzeńieckiem“. Tu już nie wytrzymałem: jak zacząć go tłuc. Zawołano policjanta i t. d.

Zasiedzieliśmy się do późnej nocy. Staraliśmy się razem wymyśleć nazwę, aleśmy nic nie wymyślili. Każdy starał się wymknąć niepostrzeżenie, na własną rękę. Zostaliśmy wreszcie we dwóch: członek zarządu i ja.

Bywają takie chwile, kiedy nagle przebłyśnie w głowie nazwa, która jest tak dopasowana i tak doskonale wyraża istotę rzeczy, że gdyby się nawet myślało tysiąc lat, toby się lepszej nazwy nie wymyśliło. I nagle ta nazwa, ni stąd ni zowąd, przychodzi mi na myśl. I oto wymyśliłem nazwę, albo trafniej mówiąc przyleciała mi do głowy, niespodziewanie jak motylek. Mój towarzysz już w tym czasie drzemał. Zbudziłem go.

— Nazwa dla pańskiego piwa już istnieje — rzekłem, wymawiając pierwszy raz to idealne słowo, które zabiłoby „Prazdrój pilzeński“ i zdobyłoby sławę światową.

Oblicze członka zarządu rozjaśniło się. — Genjalna myśl. Genjalna nazwa! — zawołał, wyskakując z krzesła. — Ta nazwa bije jak piorun. Zniszczymy, zetrzemy z powierzchni ziemi ich piwo, nasze piwo łąć się będzie strumieniem po całym świecie.

Mówił dużo, przytaczając nieporównane metafory i obrazy, ale najlepszą krytyką mojego najnowszego utworu było jego błyskawiczne zwrócenie się do nieżyjącego dziś właściciela kawiarni:

— Czy nie ma pan przypadkiem rozkładu jazdy? Jedziemy o szóstej minucie 22 do Pilzna. — I przeglądając rozkład jazdy, zwrócił się do mnie —







pan jest rzeczywiście genjuszem. Czegoś podobnego nie mogło wymyśleć ani Pilzno ani Praga. Pan jeden jedyny dokonał tego genialnego odkrycia punktualnie o drugiej w nocy. Jedziemy do Pilzna!

Widocznie był on kiedyś aktorem w teatryku amatorskim, płacąc bowiem rachunek w restauracji, powiedział z wielkim patosem:

— Moja misja jest skończona, ze spokojnem sumieniem wracam do domu!

— Jakie szczęście, przyjacielu! — powiedział, pomagając mi włożyć płaszcz. — Byłem już bliski rozpacz. Pan zapewne nie wie o tem, że przed kwartałem ogłosiliśmy nagrodę za najlepszą nazwę i przez ten czas otrzymaliśmy tylko jedną odpowiedź od jakiegoś nauczyciela, który proponował jako przeciwwagę dla głośnego „Prazdroju pilzeńskiego“ — „Pilzeńskie prapiwo“. Nauczyciel ten zakończył swój list żądaniem, by mu wysłano niezwłocznie nagrodę,

w przeciwnym razie groził skierowaniem sprawy na drogę sądową. Ale co za porównanie z pańską nazwą!...

Wzięliśmy dorożkę i do szóstej rano wędrowaliśmy po nocnych lokalach i knajpach. Przez cały czas mój rozmówca mówił wyłącznie o przyszłych sukcesach swego piwa, dzięki mojej nazwie. Z każdego jego zdania biła fontanna zachwyty, a kiedy wsiedliśmy do pociągu pośpiesznego, przedstawił mnie panu, którego sam nie znał.

— Z tym człowiekiem — powiedział, wskazując na mnie — nie zawahałbym się budować nowej wiczy Babel!...

Staralem się go nie przekonywać, a kiedyśmy zbliżali się do Pilzna, tłumaczyłem mu, że to ja jestem autorem nazw dwu dzielnic praskich, Hradczan i Petrynu. On zaś przez sen odpowiadał:

— Wiem, wiem o tem, słyszałem o tem!

Po przyjeździe do Pilzna podjedliśmy sobie w bufecie kolejowym i zmiejsza

pojechaliśmy taksówką do biura browaru.

Zameldowaliśmy się odrazu do prezesa firmy.

— Nazwa jest gotowa! Wspaniała nazwa, jakiej jeszcze nie było! Nazwa, która odsunie na drugi plan nazwę: „prazdrój pilżeński“ — powiedział mój towarzysz prezesowi już przy drzwiach.

— Ten pan, to wybitny pisarz, pan... pardon... zapomniałem, jak pan się nazywa? Aha, widzi pan, jakie łatwe nazwisko. Ale kiedy się przez całą noc nie śpi i w pociągu... panie prezesie, nazwę tę wymyślił pan literat. „Maj“ nic nie mógł wymyśleć, cała Praga ani dźwięku i tylko on, tylko on sam. Jakżeż wspaniała nazwa!

— Więc niechże mi pan wreszcie powie tę nazwę — przerwał mu prezes. — No, jaką nazwę wymyśliliście dla naszego piwa?

— Ja... ja... zapomniałem!...

Stałem jak przymurowany. Zdarzyło mi się to, co się może przydarzyć każdemu. Ilem myślał, ilem tylko się zastanawiał, aż do bólu głowy, niczego sobie nie mogłem przypomnieć. Wtedy dopiero zrozumiałem stan człowieka, który zapomniał, gdzie mieszka, jak się nazywa i gdzie się urodził. I tak z otwartymi ustami stałem przed prezesem.

— No, może sobie jeszcze przypomnicie — powiedział prezes — przyjdźcie po obiedzie.

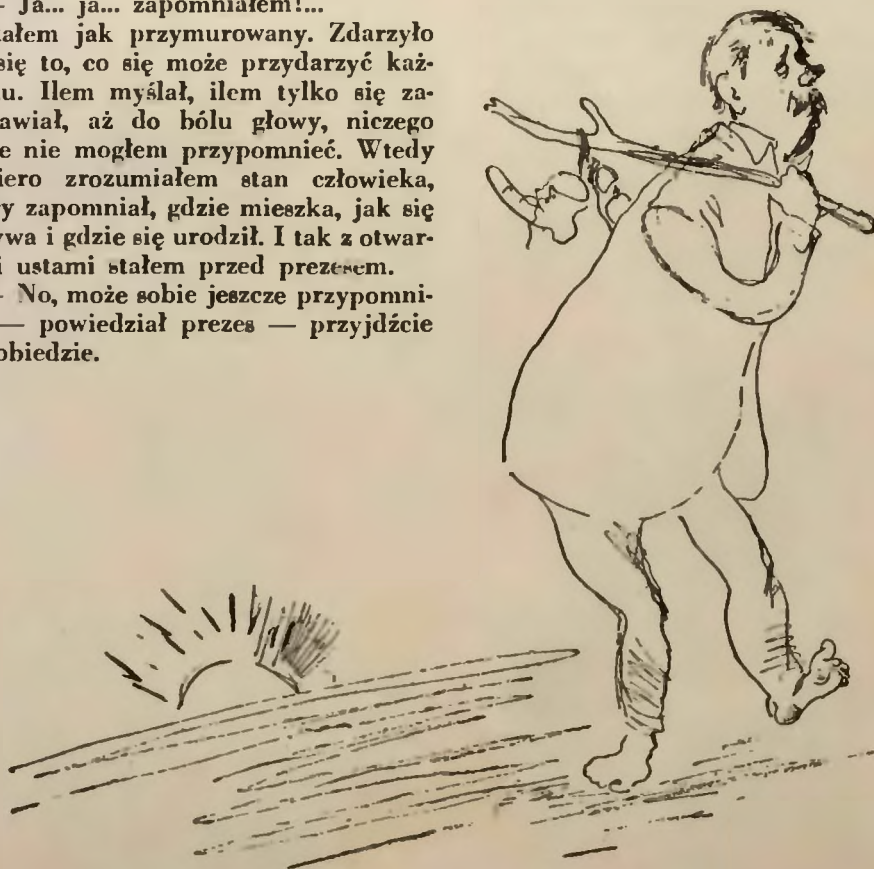
Członek zarządu zaprowadził mnie do domu i położył na kanapie, żebym się porządnie wyspał.

Zbudzono mnie przed obiadem. Sytuacja nie uległa poprawie. W ogromnym wysiłku minęło popołudnie i wieczór i następny ranek. Sądziło się, że jest to skutek zatrucia alkoholem i poili mnie wodą mineralną.

Przeżyłem tak tydzień i nic nie mogłem wymyśleć, ani niczego sobie nie mogłem przypomnieć. Siódmego dnia uciekłem przez okno w pole i piechotą polazłem do Pragi, bo nie miałem ani grosza przy duszy.

Tak, wymyślanie nazw to jedno z najtrudniejszych i najcięższych zajęć!...

J. HASEK





# Kredyt

— Tak, — odezwał się Snorkey Tema, — kredyt to zadziwiające zjawisko. — Z widocznym zadowoleniem nabił fajkę tytoniem z mojego woreczka; na krótką chwilę ręka jego zastygła w bezruchu, jakby wahając się, czy przyswoić sobie mą własność, jednakże, po chwili westchnąwszy lekko, oddał mi woreczek.

— Tak, mając kredyt, człowiek żyje sobie, jak król, kupuje na kredyt najrozmaitsze przedmioty, w barach popija, płacąc kwitkami. Naprawdę, to zadziwiające! Chciałbym mieć kredyt, ale, zdaje mi się, że na to trzeba w czepku się urodzić, bo inaczej takie szczęście jest chyba nieo-

siągalne. Mój Boże, czegóż to ja nie robiłem, aby otrzymać kredyt! Ale nie, w naszej ubogiej dzielnicy nie ma takich cudów. Przecież my nawet sobie wzajem nie wierzymy, zapewne nie sprzyja temu tutejsze powietrze. — Snorkey zaciągnął się dymem, poczem nagle roześmiał głośno i zawołał: — Dedow Fox i Willy Blanken! Na samo wspomnienie można pęknąć ze śmiechu!

— Niech mi pan opowie, o co chodzi, — poprosiłem.

— Willy Blanken... — w zamyśleniu rozpoczął Snorkey i przerwał swe opowiadanie:

— Ach, tak, przecież pan go nie



znał! To był nawrócony grzesznik. Tak, Willy stał się najmoralniejszym w świecie staruszkciem. — Snorkey zmrużył oko i pokiwał głową. — Kiedy byłem jeszcze niewinnem dziecięciem, Willy stał się najmoralniejszym w świecie staruszkciem. — Snorkey zmrużył oko i pokiwał głową. — Kiedy byłem jeszcze niewinnem dziecięciem, Willy potrafił już świetnie włożyć przez okna i otwierać kasy pancerne. Spryciarz! Na starość jednak Blanken zdradzać zaczął roztrzępianie. A wie pan, że roztrzępany złodziej zawsze wpada: wchodzi do cudzych mieszkań, zapomina, że nie jest u siebie i kładzie się spać, zaczyna śpiewać, lub coś podobnego; czasami, zamieniając swój stary płaszcz na cudzy nowy, pozostawia w kieszeni swego płaszcza kartkę z nazwiskiem i adresem. Słowem, popełnia mnóstwo szkodliwych dla siebie rzeczy. To też, dzięki temu zapominalstwu, stary Willy popełnił tyle głupstw, tyle razy stawał przed sądem, sędziowie zaś tak często skazywali go na więzienie, że biedak musiał wkońcu całkiem zarzucić swój fach. Poza tem zapoznała się z nim świetnie policja, wystarczyło, żeby Willy zjawił się gdziekolwiek, żeby natychmiast, jak z pod ziemi, wyrósł policjant. A więc, powtarzam, rzucił swe rzemiosło. Ale nie tak to łatwo dla złodzieja przestać „pracować“ — jak myślą niektórzy. Ludzie innych zawodów zawsze odkładają coś na czarną godzinę, złodzieje zaś są zdumiewająco lekkomyślni! Słowem, biedny stary Willy Blanken nie zaoszczędził sobie ani grosza na czarną godzinę i nie wiedział, co począć. Nagle przyszedł mu do głowy znakomity plan. Wynałazł jedno z misjonarskich towarzystw, nawracających grzeszników, zawsze gotowych do zaopiekowania się nawróconymi i do dania im schronienia. Ale spryciarzowi Willy nie o to chodziło.

Nie zamierzał wcale pędzić skromnego żywota w przytułku. Zaprzyjaźniwszy się pastorami i damami — patronkami, prowadząc przykładny tryb życia i przekonawszy wszystkich, że się

całkowicie poprawił, zaproponował misjonarzom wygłaszanie odczytów o swem dawnem grzesznem życiu, na którychby demonstrował naocznie, jak operuje się złodziejskimi instrumentami.

Ta myśl spodobała się członkom towarzystwa. Willy Blanken zrobił się modny. Ci przyzwoi i szanowni ludzie z wielkiem zainteresowaniem patrzyli, jak Willy, stojąc na estradzie, otwierał wytrychem skomplikowane zamki, albo dziurawił kasy pancerne ładniutkiemi, drobnemi instrumentami. Pod koniec odczytu, Willy wznosił w górę butelkę whisky, na którą zwał wszystkie swe grzechy, i wygłaszał na ten temat małe, wzruszające przemówienie.

Wywoływał powszechny entuzjazm, na odczyty zbiegało się mnóstwo ludzi, dążących do poprawy. Willy zarabiał sporo pieniędzy i żył sobie wesoło. Ale powodzenie nigdy nie towarzyszyło długo biednemu Blankenowi. Jak już powiedziałem, miał on mnóstwo słuchaczy, wielu zaś spośród nich zainteresowało się jego doświadczeniami, zainteresowało się tak dalece, że aż postanowiło na własną rękę spróbować „roboty“.

Nie tego jednak pragnęli misjonarze, zwrócili więc Willy'emu uwagę, że zbyttno zaciekawia słuchaczy i gorszy umysły, potem zaś dodali, że nie zawsze demonstruje tę samą butelkę whisky, co wydaje im się nie co podejrzane. Willy rozgniewał się i odparł drwiąco, że misjonarze orjentują się lepiej w zewnętrznym wyglądzie butelek, niż wielu z pośród jego dawnych znajomych i że zdumiewa go ich doświadczenie w tym względzie. W tem miejscu zirytowali się wszyscy, odczyty odwołano, zwołano natomiast specjalny komitet do zbadania sprawy Willy Blankena.

Właśnie w tym samym czasie Dedow Fox znalazł pewną świetną „robotę“.

Początkowo zamierzał zachować „robotę“ tylko dla siebie, chociaż w istocie sprawa wymagała współudziału dwóch ludzi. Prawie zawsze trzeba „pracować“ we dwójkę... W każdym





bądź razie brakło mu rzeczy najważniejszej — kompletu dobrych instrumentów. Wiedział jednak świetnie, że wszystko, co potrzeba, posiada Blanken. Dedow udał się więc do Willy'ego i poprosił o wypożyczenie mu instrumentów.

— Hm, — zastanowił się stary Willy, — zapewne potrzebne ci są do wygłoszenia odczytu? Tak! Do odczytu?

— Nie, na widoku jest pewna robotka, — odpowiedział Dedow, który nie przyzwyczaił się jeszcze do nowych subtelnych sposobów wyrażania się Willy'ego.

— Nigdy nie nazywamy odczytów „robotą“, albo „interesikiem“, — uroczyście odparł Willy, — to jest... to jest nieprzyzwoite. No, ale co robić, wypożyczę ci instrumenty, ale będę musiał wziąć za nie zapłatę i to dość wysoką. Sądzę, że komplet potrzebny

ci jest do wyjątkowo gruntownego, zasadniczego odczytu? Bo przecie nie prosiłbyś o to, gdyby szło o coś przeciętnego.

— Racja, — rzekł Dedow, — ale zapłacę ci dopiero po robocie.

— Nie, — odparł, kiwając głową, Willy, — tak się nie godzi; byłoby to bardzo nieładnie z mojej strony, gdybym miał wciągnąć cię w dług: tak młody człowiek, jak ty, nie powinien robić długów. Zostaw mi pięć funtów na zastaw, kiedy zaś skończysz... odczyt, zwrócę ci trzy.

— Nie mogę tego zrobić, — rzekł Dedow. — Poco ci zresztą zastaw? Boisz się, że ci skradnę instrumenty?

— Ja... nie, — odparł stary Willy, — ale wiem, że czasem podczas takich odczytów, do jakich potrzebne ci są instrumenty, zdarzają się rzeczy niespodziewane... Czasami lektor wpada w ta-

ki zapal, że znika z oczu przyjaciółom na długie lata. Instrumenty zaś są mnie samemu potrzebne.

— Ale zrozum, — rzekł znów Dedow, — że będę miał pieniądze dopiero po... no, po odczycie, kiedy sprzedam otrzymane przedmioty.

— Zapewne będziesz musiał wziąć sobie pomocnika? — spytał stary Willy, — do takich odczytów zwykle potrzebni są dwaj ludzie. Poszukaj więc sobie wiernego przyjaciela, złożcie się i przynieście mi pięć funtów.

Dedow Fox rozważył sprawę i postanowił zwrócić się do Joe Kelly. Poszedł więc do niego i opowiedział mu, o co chodzi, oczywiście, nie zdradził przed nim wszystkiego, bojąc się, aby Joe nie udał się sam na „robotę“. W takich sprawach ostrożność obowiązuje. Nie powiedział również, od kogo zamierza zdobyć instrumenty, zaznaczył tylko, że mógłby otrzymać świetny komplet, ale pod warunkiem dania pięciu funtów zastawu, z których dwa za-

liczone będą za wypożyczenie. Ale Joe również nie miał pieniędzy.

— A czy nie mógłbyś pożyczyć takiej sumy? — spytał Dedow.

Joe zastanowił się i powiedział, że kto wie, może się uda, ale nie zdradził, do kogo zwrócił się po pożyczkę, czyniąc tak z tego samego powodu, z którego Dedow nie zdradził przed nim nazwiska właściciela instrumentów.

— Nie wątpię, że słyszał pan niejednokrotnie, że wielkie umysły wpadają czasami na tę samą myśl? Tak się też stało z Dedow i Joe. Joe wpadł na pomysł zwrócenia się o pożyczkę do starego Willy. Blanken zgarniał za swe odczyty poważne sumy to też, niewątpliwie, z przyjemnością pożyczy mu tę kwotę, rozumie się na dobry procent. Udał się więc Joe po pieniądze, powiedziawszy Dedow'owi, że wieczorem oczekiwać go będzie w barze „Pod Ręką Cieśli“, gdzie opowie mu o rezultacie swych poszukiwań. Oczywiście, wie-







czorem Dedow spytał go, czy udało mu się coś dostać.

— O, sprawa już załatwiona! — odparł Joe z uśmiechem.

— Hurra! — zwołał Dedow i wyciągnął rękę. — Gdzież są więc te pięć funtów?

— No, — odparł Joe, — jeszcze ich nie otrzymałem. Ale sprawa jest załatwiona, chociaż pieniądze tkwią jeszcze w kieszeni tego gościa, do którego się zwróciłem. Ale on otrzyma je jutro. Sęk jest w czym innym: ten człowiek żąda dwóch funtów procentu.

— Dwa funty! — zdumiał się Dedow. — Przecież my bierzemy te pieniądze tylko na jeden dzień.

— Mówiłem mu to, — odparł Joe, — ale tylko pod tym warunkiem da nam pieniądze.

— On nas okrada, — rzekł z goryczą Dedow. — A ty jesteś głupi.

— Ty także, — odparł Joe. — Płacisz dwa funty człowiekowi, który daje nam instrumenty, chociaż są nam one potrzebne tylko na jedną noc.

— Hm! To prawda, — po chwili zastanowienia odparł Dedow. — To znaczy, że interes będzie nas kosztował cztery funty, musimy więc postarać się zarobić więcej — i tyle! Przynieś jutro

rano pieniądze, w nocy zaś zabierzemy się do „roboty“. Przecież nie powiedziałeś mi, na co są ci te pieniądze potrzebne.

— Naturalnie, że nie, opowiedziałem mu zmyśloną historję, o prawdzie nie ma ten gość pojęcia.

Teraz może zaczął się pan domyślać, jaką grę prowadził Willy Blanken? — ciągnął Snorkey dalej. — Kiedy Dedow zwrócił się do niego, Blanken zorientował się, że można mieć dochód bez żadnych odczytów. Potem, kiedy przyszedł doń Joe, aby pożyczyć pieniądze na procent, naturalnie, zrozumiał, że może jeszcze coś nie coś otrzymać. Pieniądzy własnych nie miał, ponieważ odczyty się skończyły, ale przecie Dedow Fox miał mu przynieść pięć funtów za instrumenty, a właśnie o taką sumę prosił go Joe i to tylko na jedną noc. Stary Willy powiedział więc sobie: „Dlaczego nie miałbym dać pięciu funtów Foxa biedakowi Kelly i osiągnąć podwójną korzyść?“ Rozumie pan?

Tymczasem następnego dnia Dedow Fox, wyszedłszy z domu, spotkał Blankena. Willy zrobił taką minę, jakby przypadkiem znalazł się na tej ulicy.

— Dzieńdobry, — rzekł stary Wil-



ly. — Zdaje mi się, że mówiłeś coś o instrumentach? Zdaje mi się, że chciałeś je wziąć do jakiejś korzystnej roboty... do dobrego wykładu, chciałem powiedzieć, i zostawić mi pięć funtów na zastaw?

— Tak, tak, — odparł Dedow, — dziwiąc się złej pamięci Blankena. — Tylko że nie ja zaproponowałem ci zastaw.

— W każdym bądź razie dogadaliśmy się, — zauważył stary Willy. — Powiedz mi, kiedy ma się odbyć ten odczyt?

— Myślałem sobie, żeby wygłosić go dziś wieczorem.

— Znakomity wieczór na odczyt, — rzekł Blanken, — właśnie teraz są najodpowiedniejsze noce, ciemno, choć oko wykol. — Wyciągnął rękę i dodał: — No, dawaj te pięć funtów.

— Ja ich jeszcze nie mam, — odparł Fox.

— Nie? — zdziwił się stary Blanken. — No więc, jakże ty chcesz zabrać się do tej... do tego odczytu? Nie

można go przecież zaczynać ani kończyć bez instrumentów, a ja ci ich bez pieniędzy nie dam.

— Rozumiem, — odparł Dedow. — Chodzi i to, że jeszcze nie otrzymałem pieniędzy ale mam je dostać dzisiaj w ciągu dnia.

— Kiedy? — spytał natarczywie Willy. — Muszę wiedzieć, kiedy mi przyniesiesz zastaw.

— Muszę się jeszcze zobaczyć z moim kolegą, — rzekł Dedow, — ale powiedzmy, że przyniosę ci pieniądze około siódmej wieczorem.

— Tak też postanowili i Dedow poszedł swoją drogą. Długo chodził po mieście, długo szukać swego kolegi, kiedy zaś spotkał go wreszcie, okazało się, że Kelly nie ma ani centa!

— Jeszcze nie załatwiłem tej sprawy, Fox, — rzekł Joe, — ale napewno dziś dostanę pieniądze.

— O której? — spytał Dedow.

— O ósmej wieczorem! — odparł Joe.

— Tak późno! — zauważył Dedow. —



Czy nie mógłbyś dostać ich wcześniej?

— Starałem się, ale mi się nie udało, — smutnie tłumaczył się Joe. — Ten gość mówi, że jest bardzo zajęty.

— A gdzie on mieszka? — spytał Dedow.

— Och, daleko, — dał nieokreśloną odpowiedź Kelly.

— Pan rozumie, nie chciał dać Foxowi możliwości wystrychnięcia go na dudka.

— Widzisz, jeżeli on mieszka bardzo daleko, — tłumaczył Dedow, — to może będziemy musieli odłożyć naszą „robotę“. Miałem dostać instrumenty o siódmej, ale jeżeli ty dostaniesz pieniądze dopiero o ósmej, a w dodatku będziesz musiał daleko po nie chodzić, to prawdopodobnie nie zastanę właściciela instrumentów w domu.

— Nie na to nie poradzę, — odparł Joe.

Fox poszedł więc do domu, zapalił fajkę i zabrał się do czekania na Joe i pieniądze. Cekał długo. Około wpół do ósmej przyszedł do niego stary Blanken. Sapał i dyszał, jak lokomotywa.

— Spodziewałem się ciebie koło siódmej, — zaczął Willy. — Wiesz, że jestem człowiekiem zajętym i nie mogę tracić na próżno czasu. — Ktoś, kto zwykł się spóźniać, nie powinien wyznaczać godziny spotkania. Gdzie pięć funtów?

— Jeszcze ich nie dostałem, — odparł Dedow.

— Ale jakże w takim razie zdążysz na dzisiejszą robotę... to jest na odczyt? — spytał stary Willy. — Jak ty się do tego zabierzesz?

— Będę widać musiał wszystko odłożyć, — rzekł Dedow, — jeżeli mi nie przyniosą pięciu funtów.

Stary Willy Blanken zasypał go gradem przekleństw.

— Sprawileś mi tylko nieprzyjemności, zabrałeś mi tyle czasu, a właśnie dziś wieczorem trafia mi się dobry interes, ważne spotkanie handlowe, i to punktualnie o ósmej — ja nie mogę czekać. No, słuchaj: przypuśćmy, że

ty nie dostaniesz dzisiaj pieniędzy, czy możesz wobec tego dać mi słowo, że jutro rano przyniesiesz mi pięć funtów?

— No, naturalnie, — odpowiedział Dedow. — Głowę daję, że przyniosę. Czy mam przyjść do ciebie do domu?

— Nie, nie! — zastrzegł się Willy. — Jestem teraz człowiekiem interesu i dbam o moją opinię. Przyjdź o jedenastej „Pod Rękę Cieśli“.

— A czy przyniesiesz instrumen-

— Naturalnie. Nigdy nikogo nie oszukuję.

I powiedziawszy to, Blanken udał się na spotkanie z Joe.

Kiedy po upływie godziny Kelly wrócił do Foxa, rozczarował go okrutnie, powiedziaławszy:

— Byłem o ósmej u mojego znajomego, — mamrotał coś i, zdaje się, że miał zamiar znów mnie zwieść. Ale ja zażądałem od niego pieniędzy. Wówczas powiedział, że da pieniądze, ale pod jakąś gwarancję. A jakąż ja mogę dać mu gwarancję?

— Ach, Joe Kelly! — zawołał Dedow, — jakiś ty głupi, nigdy jeszcze w życiu nie miałem tak głupiego kolegi! Każesz mi czekać, a ten gość, który mi daje instrumenty, żąda ode mnie pięciu funtów zastawu. A jak już wszystko jest na dobrej drodze, zjawiasz się z opowiadaniem o gwarancji! No, idź, zdobądź w jakiś sposób gwarancję, ponieważ muszę dać pieniądze jutro, punktualnie o jedenastej rano. Zapamiętaj sobie: dałem słowo.

Joe Kelly poszedł do domu i położył się spać. Rankiem zaświtała mu w głowie szczęśliwa myśl. Gwarancji żadnej nie miał, ale mógł ją przecież zdobyć w taki sam sposób, w jaki zdobywał środki egzystencji. I oto Kelly znalazł się w tłumie, ciągnącym od dworca Liverpoolskiego, gdzie zręcznie zwędził zegarek jakiemuś przechodniowi. Musiał biec z całych sił, ponieważ mnóstwo clarków z City rzuciło się za nim w pogoń, omal-że go nie schwytało, to też, kiedy dotarł wreszcie do mieszkania Willy Blankena, z trudem łapał oddech i ledwo mówił.





Stary Willy leżał jeszcze w łóżku i złościł się, że go obudzono.

— Ładna mi gwarancja, — zauważył drwiąco, spojrzawszy na zegarek. Zresztą nawet sam Joe, przyjrawszy się skradzionemu przedmiotowi, zobaczył, że zegarek nie wart jest pięciu funtów. — Wszystko zresztą jedno, — ciągnął Willy dalej, — zostaw mi ten zegarek, przyjdź o jedenastej na róg ulicy do baru „Pod Ręką Cieśli“, a dam ci pięć funtów.

Naturalnie, Joe z zadowoleniem zostawił u niego zegarek. Rozumie pan? Obawiał się, że śledzą go i że, nie daj Boże, zrewidują jeszcze na ulicy.

A więc o jedenastej godzinie Willy Blanken stał na progu baru „Pod Ręką Cieśli“ na rogu ulicy N., trzymając oburącz instrumenty i oczekując swych klientów. Stał w wyszukanej pozie z wyrazem zadowolenia na twarzy. Nie podejrzewał nawet, że Kelly ma coś wspólnego z Foxem. I nagle ukazali się obaj: Kelly szedł z wesołą miną, święcie przekonany, że otrzyma wreszcie pieniądze, z drugiej strony ulicy zbliżał się Dedow, który cały ranek spędził na oczekiwaniu przyjscia Joe, irytując się z każdą chwilą coraz bardziej. Teraz szedł krokiem, żeby o właściwym czasie zastać Willy'ego i poprosić go o jeszcze jedną krótką zwłokę. Obaj jednocześnie wyszli z za węgła i wpadli na siebie. W tej właśnie chwili straszliwe podejrzenie przemknęło Foxowi przez myśl. Wydało mu się, że Kelly postanowił go zdradzić, że dla tego unikał go przez cały ranek, teraz zaś i sam udał się do starego Willy, aby zagarnąć instrumenty. Dedow rzucił się na Kelly'ego i schwytał go za ramiona obiema rękami.

— Gdzie pieniądze? — wrzasnął z wściekłością.

— Jeszcze nie dostałem, — odparł Joe, starając się wyswobodzić z rąk Foxa. — Puść mnie, puść... A ty coś tu przyszedł?

Rozumie pan? To samo straszliwe podejrzenie zaświtało i w głowie Joe'go.

— Ach, tak, — powiedział, — teraz rozumiem twoją grę. Odejdź stąd! Ja chcę wstąpić do baru.

Dedow wściekał się, żądanie Joe ostatecznie wyprowadziło go z równowagi.

— Wolnego Joe! Ja pierwszy wejdę do baru. A ty masz tymczasem!

I pięść Foxa podbiła oko Kelly. Zaczęła się bijatyka. Willy usłyszał hałas i wyjrza z baru. Ku swemu zdumieniu zobaczył Joe i Dedow, tłukących się zawzięcie, to też rzucił się ku nim, aby ich rozdzielić. Dedow wstał na chwilę i, ujrawszy, że schwycił go drugi zdrajca, wyobraził sobie, że Willy zjawił się na pomoc Joe, to też pchnął go tak, że stary Blanken upadł. Wreszcie, kiedy Joe i stary Willy wstali z chodnika, Kelly, ujrawszy Blankena - zdrajcę, skolei rzucił się na niego. W tej właśnie chwili zjawił się policjant i zaaresztował całą trójkę.

Dedow Fox i Joe Kelly wyszli obronną ręką: posiedzieli w areszcie za bójkę uliczną — i tyle! Ale biedny stary Willy wpadł: zastano go z kompletem instrumentów w ręku i znaleziono przy nim ten zegarek, który został skradziony na ulicy Liverpoolskiej.

W ten sposób jedna z najkorzystniejszych grabieży nie została skutecznie wyłączone tylko dlatego, że inicjatorzy nie posiadali kredytu.

A. MORRISON